NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 2 września 1905 r. Nr. 36.

Tragedya małżeńska w hotelu warszawskim w Krakowie.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Tragedya małżeńska w hotelu warszawskim w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Niejeden z krwawych dramatów, porywający za sobą życie nieszczęśliwych, krwawemi zgłoskami zapisał się w naszej pamięci, niejedno samobójstwo młodego osobnika, niespodziewane, a tak straszne w skutkach, głęboką żałobą pokryło krewnych i znajomych, jeszcze dotąd stoją nam przed oczyma owe straszne tragedye małżeńskie, gdzie z powodu jednego nieuczciwego człowieka zginęło szczęście małżonków, a zawiść i wzajemne oskarżenia doprowadziły do strasznych rezultatów.

Oryginalnością zadziwi zapewne ciekawy w swym rodzaju dramat z dni ostatnich, jeden z tych, do których przygotowanie trwa nieco dłużej, czasem lata całe. Powodem strasznej zbrodni zdrada małżeńska.

W połowie maja b. r. zjechał do Krakowa wraz z żoną Mikołaj Kaniowski. Kaniowski rodem z Petersburga przebywał stale w Warszawie, gdzie interesa majątkowe prowadził jak najkorzystniej dla siebie. Po owdowieniu z drugą żoną zapoznał się w jednej z podrzędnych kawiarni warszawskich z 24 letnią kelnerką, Rozalią Wygryz. Dobrze zbudowana i wcale ładna Rozalia, pozyskała



Nowi kadeci we Lwowie: Szkoła kadecka we Lwowie. Fot. Kordyan. Lwów.



Tragedya małżeńska w hotelu warszawskim w Krakowie: Rozalia Kaniowska.

serduszko owdowiałego Kaniowskiego, a kiedy wreszcie poznała, że wpływ jej na chwiejnego adoratora jest najzupełniej wystarczający na zaprowadzenie go do ołtarza, skorzystała z dogodnej pory i znalazła się pewnego pięknego poranku wraz z Kaniowskim w kościele św. Anny w Warszawie, aby zawrzeć śluby małżeńskie.

Mezalians tego rodzaju nie mógł, rzecz naturalna, przypaść do gustu bogatym krewnym Kaniowskiego, którzy na ten związek zawistnem okiem poczęli spoglądać. Rozpoczęły się niesnaski rodzinne, wymówki i nieprzyjemności. Kaniowski przenosi się wtedy do Krakowa, niby do cichej przystani, a wynająwszy sobie pokaźną trafikę przy ulicy Sławkowskiej, spodziewa się teraz zażywać najzupełniejszego spokoju.

Tymczasem zaszło coś wręcz przeciwnego, coś nieprzewidzianego, co popchnęło nieszczęśliwego Kaniowskiego do rozmyślnej, czy też zupełnie przypadkowej zbrodni.

Niedługo po przyjeździe do Krakowa zapoznała się nadobna Rozalia z byłym portyerem hotelu Polskiego, niejakim Franciszkiem Żmudą. Nieprzyjemny trójkąt małżeński, powstały ze szkodą Kaniowskiego, uderzył zaraz z początku nieszczęśliwego małżonka, nie przypuszczał on jednak, by żona jego, której bądź co bądź wiele dobrego wyświadczył, wyciągnąwszy ją z brudów i mętów kawiarnianych, w ten sposób mogła mu się odpłacić za jego dobro. Kiedy przyjaźń ze Żmudą coraz drastyczniejsze poczęła przybierać rozmiary, zniknęła najniespodzianiej Kaniowska, nie zapomniawszy poprzednio zabrać ze sobą rozmaitych kosztowności no i... Żmudy. Pozostawiony list donosił, że opuściła Kraków, by udać się do krewnych do Warszawy.

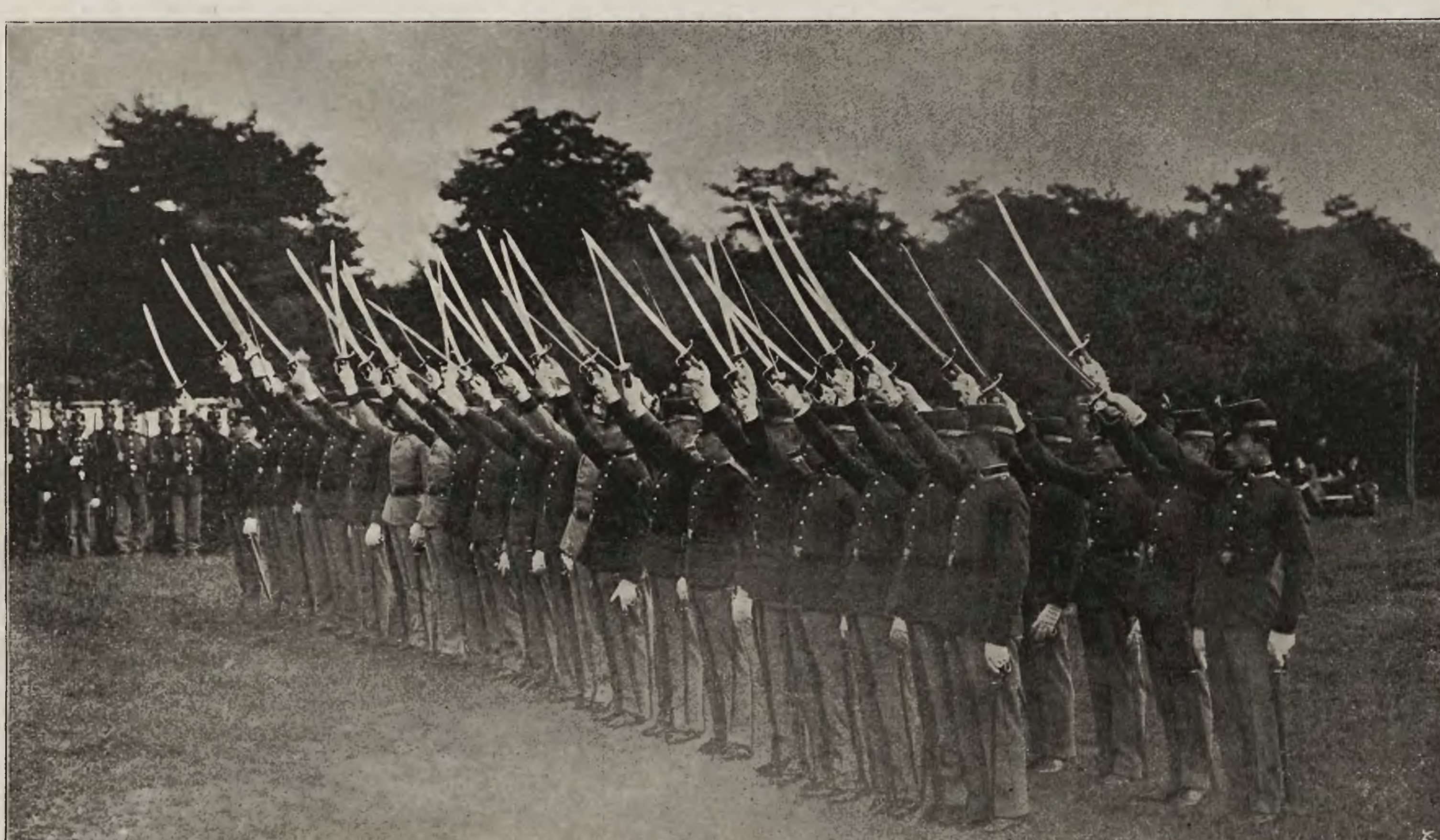
W kilka dni potem otrzymał Kaniowski wiadomość, że zbiegła para bawi w Krakowie i wraz ze Żmudą przebywa w hotelu warszawskim. Kaniowski zażądał interwencyi policyi, chcąc jej odebrać rozmaite rzeczy wartościowe, które ze sobą zabrała. Skoro zjawił się w hotelu warszawskim, zastał żonę samą, zaraz też zażądał od niej wydania pierścionka. Żona okazała się skłonną do zgody, wobec czego interwencya organów policyjnych była już zupełnie zbyteczną. Ajent policyjny, posłyszawszy te słowa, oddalił się. Nie upłynęło parę minut, gdy z wewnątrz pokoju usłyszano głuche odgłosy walki, gwałtowne dzwonienie, a wreszcie stzzały rewolwerowe. Chciano przemocą wtargnąć, w tej chwili otworzył drzwi jednak Kaniowski. Oczom przybyłych straszny przedstawił się widok. W kałuży krwi leżała zamordowana małżonka, opodal stał blady jak trup Kaniowski z rewolwerem w ręku.

Illustracya tytułowa przedstawia krwawą tragedyę małżeńską. Podajemy również fotografię niewiernej żony.

Nowi kadeci we Lwowie.

W dniu rocznicy urodzin cesarza Franciszka Józefa odbywa się we wszystkich austryackich wychowawczych zakładach wojskowych uroczyste zaprzysiężenie mianowanych świeżo elewów ostatniego roku nauki kadetami lub podporucznikami.

Podobna uroczystość odbyła się tego roku w dniu owym i w lwowskiej szkole kadeckiej, położonej na wzgórzu stryjskiem. Przybył na nią generał-major Barleon, grono wyższych oficerów, oraz zastęp publiczności, przeważnie rodziny wychowanków zakładu. Zaprzysiężenie odbyło się na placu mustry przed frontem głównego budynku, a odbyło się w sposób bardzo uroczysty. Wygłoszono kilka przemówień do nowo-mianowanych, wskazując im obowiązki i zadania stanu wojskowego; słowa roty przysięgi wygłosili nowi kadeci choralnie, powtarzając je za komendantem szkoły majorem Chmielowskim; na koniec wzniesiono okrzyk na cześć cesarza, a równocześnie orkiestra wojskowa zaintonowała hymn ludu; podczas tego dobyli kadeci szabel z pochew i trzymali je w górę



Nowi kadeci we Lwowie: Zaprzysiężenie nowych kadetów we Lwowie. Fot. Kordyan. Lwów.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Wyścigi konne w Wyszatycach: Nadporucznik Mannhardt.

wzniesione. Uroczystość zakończyła się defiladą honorowej kampanii przed jenerałem Barleonem i zebranymi oficerami.

Po uroczystości tej podpisali wszyscy nowo-mianowani kadeci w liczbie 41, książkę pamiątkową, wieczorem zaś odbyła się wspólna uczta.

Z dniem 1 października rozpoczną oni służbę w pułkach. do których zostali przydzieleni, obecnie zaś otrzymali urlopy sześciotygodniowe.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Wyścigi konne w Wyszatycach: Dragon Kamennyk.

75 rocznica urodzin cesarza w Przemyślu.

Jednym z najbardziej uroczystych dni dla całej monarchii austryacko-węgierskiej jest bezwątpienia dzień urodzin Najjaśniejszego Pana.

W dniu tym starają się wszyscy, bez wyjątku, okazać swoją radość z powodu sędziwego wieku monarchy, który troskliwem okiem czuwa nad wszystkimi stanami. Najbardziej piękną jest ta rocznica we wszystkich garnizonach, które, całkiem naturalnie, cieszą się specyalną łaską panującego. Już wczesnym rankiem rusza kapela wojskowa, by wobec zbudzonych ledwie ze snu mieszkańców zamanifestować swą radość. Polne msze św. parady wojskowe, dopełniają tej prawdziwie pięknej uroczystości.

Jak co roku, tak też i teraz, odbył się uroczysty obchód urodzin Najjaśniejszego Pana na Wilczem, przedmieściu Przemyśla. Uroczystą mszę odprawił kapelan wojskowy dla licznie zebranej publiczności wojskowej i cywilnej. Przed komendantem korpusu hr. Auerspergiem, który na odprawionem nabożeństwie był również obecny, odbyła się później defilada całego garnizonu.

* * *

Załączona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia komendanta korpusu hr. Auersperga, w otoczeniu sztabu generalnego podczas mszy polowej na Wilczem.

Wyścigi konne w Wyszatycach pod Przemyślem.

Do najbardziej interesujących sportów należą bez wątpienia wyścigi konne. Każdy z nas był na wyścigach nieraz, tłumy publiczoności spieszą tam zawsze z ochotą, bo mają tę szaloną wprost emocyę, gdy jeźdźcy i konie — jedna zwarta masa — dokładają wszelkich sił, byle tylko najpierw zjawić się przy mecie. Wyścigi konne urządzają w każdem większem mieście dobrze zorganizowane przedsiębiorstwa wyścigowe, które też czerpią z nich poważne dochody.

Przed paru dniami odbyły się wojskowe wyścigi konne w Wyszatycach pod Przemyślem. Szły one składnie dzięki staraniom komitetu, a zwycięskich jeźdźców oklaskiwała licznie zebrana publiczność. W wyścigach brał udział 8 pułk dragonów.

Pierwszy bieg, który stanowił największe zainteresowanie, nagrodę pierwszą (2000 k.) otrzymał nadporucznik Mannhardt, drugą (1000 kor.) porucznik Cycel. Pierwszą nagrodę drugiego biegu (1500 k.) zdobył porucznik Cycel, drugą (750 k.) nadporucznik Mannhardt.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Wyścigi konne w Wyszatycach: Wachmistrz Benesch.

W wyścigach wachmistrzów zwyciężył wachmistrz Benesch, który otrzymał 20 k. i złoty zegarek. Pierwszą nagrodę w wyścigach dragonów, zyskał dragon Kamennyk. Otrzymał 50 k. i srebrny zegarek.

Załączone fotografie przedstawiają licznie zebraną publiczność, wraz z komendantem X. korpusu hr. Auerspergiem i wszystkich zwycięzców.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Wyścigi konne w Wyszatycach: Porucznik Cycel.



75 rocznica urodzin cesarza w Przemyślu: Komendant korpusu przemyskiego w otoczeniu sztabu generalnego podczas mszy polowej na Wilczem. Fot. M. Todt. Przemyśl.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

14 (Ciąg dalszy).

— To wiedzcie, że paszport powinien być na każde zawołanie... i następnie, nie obawiajcie się, ale w tem ubraniu zaniedbanem, każdy żandarm aresztowałby was na miejscu, bez żadnych przyczyn i pozorów, bo wygląd wasz kwalifikuje was na szubienicę, jako zatwardziałego nihilistę... To tylko ojcowskie napomnienie — śmiał się — zobaczycie, jak Stach się wyelegantuje.

— Ja mam paszport — powiedziała Helena z rozpromienioną twarzą.

— Wy? — spojrzał badawczo — hm... od biedy ujdziecie... ale niechętnie powierzam kobietom przemytnictwo, bo one zawsze są w podejrzeniu, nie w oczach żandarmów, ale celników, że przewożą fatałaszki — a widząc stropioną minę Heleny i Olgi — wy, kobiety, tam w kraju możecie oddawać bardzo wielkie przysługi, ale nie na stacyach pogranicznych. Tam wasze miejsce... Lecz na bezrybiu i rak ryba — uśmiechnął się — jedźcie... Czy ta ilość nie jest zbyt wielka na waszą zacną osóbkę? — wskazał na dwa pakiety, z których jeden był mniejszy — wstańcie, panno Heleno, niech was okiem zmierzę.

Posłuszna zbliżyła się, ale tak ją rozśmieszył ten egzamin, że zaśmiała się głośno i okręciła się w kółko, mówiąc:

— Obejrzyjcie mnie, a ja was upewniam, że polecenie zostanie wykonane.

— Za mała jesteście i za szczupła, wolałbym was, panno Olgo, macie postawę damy dumnej i wspaniałej — zaśmiał się.

— Heleno, oddaj mi twój paszport — prosiła Olga.

— Nie... nie mogę ciebie narażać... już ja pojadę... i co mam robić, panie Pawle, z tą bombą drukowaną?

— O ósmej rano wyjedziecie, będziecie w Zawierciu o wpół do trzeciej. Wyjdziecie z wagonu z książką w ręku, naturalnie c n/uralną, np. przewodnik kolejowy, słownik. Ktoś przystąpi i spyta: pani do Zawiercia? Temu oddacie mniejszą paczkę. On spodziewa się mężczyzny, może was nie zaczepić, to zawieziecie dalej tę paczkę i oddacie obydwie w Łodzi. W Koluszkach będziecie o siódmej wieczorem a w Łodzi po ósmej. Weźmiecie doróżkę, każecie się zawieźć na ulicę Wesołą, numer dziewiąty i na drugiem piętrze są jedyne drzwi, zadzwonicie, spytacie się o pana Ryszarda, gdyby go nie było, bo i to możliwe, dowiecie się, kiedy będzie i oddacie mu przesyłkę.

— A gdyby wyjechał? — spytała Helena.

— Zajedziecie do hotelu i zaczekacie... Kolej do Łodzi i z powrotem druga klasa: siedem rubli dwadzieścia; na życie dwa dni: cztery ruble; hotel i doróżki: dwa ruble, razem trzynaście dwadzieścia i sześć koron do granicy — wyjął pugilares, odliczył pieniądze i wręczając — jedźcie i wracajcie szczęśliwie!

— Wy jednak bogaci — uśmiechnęła się Helena — że jeździcie drugą klasą.

— To ze względów praktycznych. W trzeciej trudno się rozebrać i baczniej pilnują... Czy zapamiętaliście dobrze? Ósma wyjazd, Zawiercie z książką, Łódź Wesoła dziewięć, drugie piętro, Ryszard.

— Już wiem... pojadę! — patrzała nie bez dumnego zadowolenia na Olgę i Żaleckiego.

Paweł spojrzał na zegarek i szybko się ubierając:

— Pół do piątej... zaraz przyszlę ci medyka... kuferek, resztę broszur i moje graty tu zostaną, przenocuję u ciebie, gdzie będzie klucz?

— Nad drzwiami, za futryną.

— Bywaj zdrów... do widzenia — uścisnął wszystkim rękę i szybko wyszedł.

Helena podniosła z podłogi paczkę i ciekawie oglądała. Żalecki wstał i rzekł:

— Nie mam tu nic do roboty, pójdę., ale z tego Pawła energiczna bestya, nie traci słów i czasu... tylko, co on upatrzył sobie do mego ubrania? — obejrzał siebie troskliwie — wyglądam przecież przyzwoicie... Koleżanko Wojtyrska, czy jestem źle ubrany?

Przypatrzyła mu się z uśmiechem rozbawionym i po chwili:

— Wiecie, od biedy ujdzie to ubranie pomiędzy nami... ale nawet w oczach nieuprzedzonych wyglądacie co najmniej wątpliwie. Należałoby też trochę skrócić włosy i wyrównać brodę.

— Ha, jeśli tak sądzicie — westchnął — przedzierżgnę się w eleganta... a dlaczego nie powiedzieliście mi przedtem?

— Najpierw nie pytaliście się... no, i nie jechaliście do Królestwa.

— Skończyłem — rzekł Walczak od stołu i zwracając się do Żaleckiego — wręcz ten list, a dzisiaj możebyś mnie zastąpił w lekcyi; od siódmej do ósmej.

— Już... i na chwilę wpadnę przed odejściem pociągu.

— Jak chcesz... ale nie zbliżaj się do mnie — zaśmiał się — będę we futrze z bobrowym kołnierzem.

— Prawda... więc do widzenia.

— Kolego Żalecki, pomóżcie mi zabrać te paczki — zawołała Helena — tylko kto mnie wypakuje anatomicznie?

— Pomogę ci — powiedziała Olga — chociaż odmówiłaś mi paszportu.

— Ach, moja droga, tak byłam spragniona chrztu! Jaka szkoda, że dziś nie jadę i tak całą noc nie będę spała.

— Spokoju, koleżanko, spokoju — doradzał Walczak, żegnając się z nimi — a może spotkamy się gdzie w drodze przy mijaniu się pociągów.

— Może... nie znam rozkładu jazdy... ale w każdym razie szczęśliwej podróży — uścisnęła mu rękę serdecznie.

— Szczęśliwego powrotu wam życzę i do widzenia!

— Wy, kolego Walczak i Helena jesteście szczęśliwsi od nas — westchnęła Olga.

— Znajdzie się robota dla nas... znajdzie — uśmiechnął się Żalecki.

Walczak po ich wyjściu poukładał broszury na łóżku, a zobaczywszy tak znaczną ilość, znów zwątpił, czy one pomieszczą się na nim.

Następnie wyjął ze szafy wiszące tam ubranie i obejrzał z westchnieniem, gdyż spodnie u dołu były postrzępione. Ułożywszy je starannie na stole, odcinał scyzorykiem wiszące strzępy i nici. Ubrał się w czystą bieliznę, nie mógł jednak znaleźć czystego kołnierzyka, gdyż dopiero dziś wieczorem miała odnieść praczka; zdecydował się więc na brudniejszy i ubrawszy się w anglez, miał właśnie umyć ręce, gdy po trzykrotnem zapukaniu wszedł blondyn, około trzydziestu lat, z zawiniątkiem i podając rękę, rzekł:

— Paweł przysyła wam futro i czapkę.

— Dziękuję... no, bandażujcie!

— Jakto, po ubraniu... Rozbierajcie się żywo... musimy spieszyć się.

— Sądziłem, że pod surdut, jak zwykle — rozbierał się szybko.

— A to dobre! — śmiał się przybyły — tyle bibuły... Zostańcie w koszuli — dobył szpagatu, zbliżył się do łóżka i biorąc po kilka broszur, bandażował najpierw nogi.

— Przejdźcie się... siądźcie na krześle... gdzie ugniata?

— Pod kolanami.

— Zaraz zaradzimy... a teraz?

— Ujdzie.

— Tylko pamiętajcie stąpać z wdziękiem, spokojnie i raczej powłóczyć nogami, aniżeli podnosić wysoko... Teraz włóżcie spodnie... o! marne!... nie macie lepszych?

— Nie mam.

— Zrzućcie wasze... bierzcie moje — rozbierał się — musicie porządnie wyglądać... No, z dwoma paczkami uporaliśmy się... jeszcze dwie... czy ten Paweł oszalał, taką moc broszur... chyba garb, albo brzuch wam zrobię? — patrzał zafrasowany.

— To wasza rzecz — zaśmiał się wesoło Walczak — od tego wy anatom.

— Młodzieńcze, nie śmiej się, tu idzie o twoje bezpieczeństwo... Stańcie tu bliżej — i znów systematycznie okładał broszurami plecy, piersi brzuch...

— Całe szczęście, że nie macie tłuszczu, jak was posznuruję, będziecie mieli wygląd możliwy.

Skończył wreszcie i polecił mu ubrać się, a widząc, że nakłada anglez czarny, zawołał:

— Stój, profanie! Czy widzieliście kiedy, aby człowiek szanujący się, posiadający wspaniałe futro z bobrowym kołnierzem, jeździł w anglezie? Tużurek, marynarka... macie co z tych bogactw?

Walczak wskazał na codzienną marynarkę, leżącą na krześle

— Wasz lokaj może mieć taką, ale nie wy... taki pan! — śmiał się. — Przecież musicie się rozpiąć przy rewizyi... jesteśmy jednego wzrostu, zabierajcie mój tużurek — a gdy Walczak się ubrał — wcale przyzwoicie... nie miałem pojęcia, że tak elegacko wyglądam. Teraz pokażcie waszą fizys... podła broda, trzeba zrównać... dawajcie nożyczki...

— Nie mam.

— Pożyczcie u sąsiada... prędko.

Za chwilę były już nożyczki i nierówna, kosmykowata broda nabrała innych kształtów.

— Widzę, że mam talent fryzyerski, spójrzcie w lustro... mało wam brakuje do piękności Don Juana, brodę macie już w każdym razie.

— Godzina szósta! — zawołał Walczak, patrząc na zegarek — spóźnię się!

— Jeszcze czterdzieści minut... Bogowie! Co za kołnierzyk!? Jaka krawatka?! Młodzieńcze, ty nie jesteś Petroniuszem!... Ubierajcie się we futro... ostrożnie, bo zepsujecie mój opatrunek! Po drodze kupimy kołnierzyk i krawatkę, a na dworcu ubierzecie się.

— Jakto, odprowadzacie mnie?

— Panów we futrach z bobrowym kołnierzem, co zawsze Paweł podkreśla, musi zawsze ktoś odprowadzać... A kuferek macie przygotowany?

— Zawsze gotów — uśmiechnął się. — Trochę bielizny, stare ubranie...

— Weźcież i anglez, jedyna rzecz, świadcząca o was korzystnie.

— No, jedźmy — wziął w rękę kuferek i poczuł, że w jednem miejscu pękł szpagat — wiecie, sznurek przerwał się.

— Gdzie?

— Z boku prawego.

— To nic... przytrzyma koszula.

W opalonym wagonie było kilka osób. Walczaka grzały papiery, ciężkie futro i ciepło w wagonie. Poty biły na niego, a ponieważ wagon był starego systemu, bez kurytarza, miał chwilami wrażenie, że bliskim jest uduszenia. Po półgodzinnej podróży odważył się zrzucić futro.

W Granicy, po oddaniu paszportu, gdy wychodził z wagonu, na zgiętej nodze pękł sznurek i czuł, że kilka broszur ze szelestem opuściły się w dół.

Stąpał ostrożnie, posuwając nogi według wskazówek medyka, ale mimo tego czuł obluźnienie sznurowadeł, a broszury groziły osunięciem się na dół, co mógłby ktoś przypisać obrzęknięciu się nogi, ale żandarmi i artielszczycy z komory będą to uważali za kryjówkę kontrabandy.

Lecz wrócić się było niemożliwem i spocony, przerażony możliwością odkrycia, dowlókł się do sali rewizyjnej.

Stanął przed ladą, na której leżał jego kuferek i tak był zajęty uwagą, czy nie osuwają się książki, iż nie zauważył urzędnika cłowego przed sobą, dopiero zbudził go surowy głos:

— Otwórz pan!

Sięgnął za szybko do kieszeni i przy tym gwałtownym ruchu pękł szpagat na ramieniu. Podejrzliwie, z pod oka, spojrzał na urzędnika, który zniecierpliwiony zawołał:

— Gdzie klucz?

Wyciągnął i nie ufając sobie, czy nie zadrży mu ręka, oddał klucz artielszczykowi. Urzędnik począł przeglądać wyjmowane przez artielszczyka rzeczy, a Walczak zastanawiał się, co będzie, gdy książki zesuną mu się z piersi niżej i wydmą w nienaturalny sposób jeden jego bok.

— Czy więcej nic pan nie ma?

— To wszystko.

Zdawało się Walczakowi, że urzędnik zmierzył go podejrzliwie, lecz nie pociągnęło to za sobą żadnej dalszej rewizyi i kartka uwalniająca została przyklejona do kuferka.

Teraz sztuka, pomyślał Walczak, wyjść ze sali, aby nie obudzić podejrzeń. Spróbował zwolna kilka kroków i zdawało mu się, że drzwi wyjściowe są bardzo, bardzo dalekie i z goryczą pomyślał o złośliwej chytrości celników, którzy na udręczenie podróżnych urzędują w tak niemiłosiernie długich salach.

Artielszczyk przeskoczył ladę i wziąwszy kuferek, zachęcał:

— Chodźmy, panie!

Dobryś... tobie łatwo, ale mnie?! Rozejrzał się w około, dostrzegł, że ci i owi z dozorców celnych, ustawionych w sali przy oknach, patrzą na niego. Pod tym wrażeniem przyspieszył kroku i poczuł usunięcie się książek po nodze. To zamiast przerażenia, wywołało głuchy gniew, najpierw na medyka, że tak słabo bandażował, a wkrótce klął w duchu Moskali, rewizyę i cały świat.

— Będzie, co będzie — mruknął z pasyą i szedł śmiało naprzód.

Wtem dostrzegł dwóch dozorców przy drzwiach wyjściowych, którzy przepuszczali poszczególnie pasażerów.

— No, jak tu nie utonę, jestem uratowany.

Stanął przed nimi, gdyż na jego szarym kuferku nie mogli doszukać kartki rewizyjnej. Dwaj dozorcy zaczęli się spierać z artielszczykiem, przysięgającym, że kartka była i jest gdzieś. To zwróciło uwagę bliższych i dalszych, a Walczakowi zdawało się, iż lada chwila ktoś dotknię się przypadkiem jego nóg, poczuje pod dotknięciem książki, zobaczy nienaturalne zgrubienie i wszystko się wyda.

Nareszcie znaleziono kartkę i Walczak wszedł w długi kurytarz, po którym kręcili się dozorcy cłowi, żandarmi, posługacze.

Oddawszy kuferek, szedł zwolna, tuląc futro do siebie, aby nie osunęły się książki z boku.

Odetchnął dopiero w sali restauracyjnej, gdy usiadł przy najbliższym stoliku. Spojrzał na zegarek, było trzydzieści pięć minut na dziesiątą, a pociąg odchodzi o pierwszej w nocy. Westchnął z głęboką litością nad sobą, że tyle godzin musi przesiedzieć nieruchomy we futrze i w piekącym futerale książek.

Teraz poznał dopiero piekące gorąco, miał wrażenie, że ciała jego dotyka się gorąca blacha, a sznurki na nodze i ramieniu, po osunięciu się broszur, wjadały mu się w ciało.

Otarłszy kroplisty pot z czoła, siedząc chmurny, patrząc zazdrośnie, ale i z pogardą na licznych podróżnych w sali, którzy zrzuciwszy wierzchnie ubranie, przechadzali się swobodnie, rozmawiali i jedli kolacyę.

Do siedzącego zbliżył się garson:

— Czy mam co podać?

Poczuł głód, gdyż od skromnego obiadu nie miał nic w ustach.

— Co macie? — spytał umyślnie dość szorstko.

Garson wymienił potrawy, a Walczak rozmyślał, która najpożywniejsza i najtańsza zarazem; miał wprawdzie pieniądze, lecz one pochodziły z kasy stronnictwa i uważał sobie za obowiązek wydać jak najmniej. Zapachła mu kiełbasa z kapustą, ale miał wątpliwość, czy pan w takiem wspaniałem futrze może jeść kiełbasę bez zwrócenia szczególnej uwagi. Osądził, że bezpieczniej będzie zjeść polędwicę, którą też polecił przynieść.

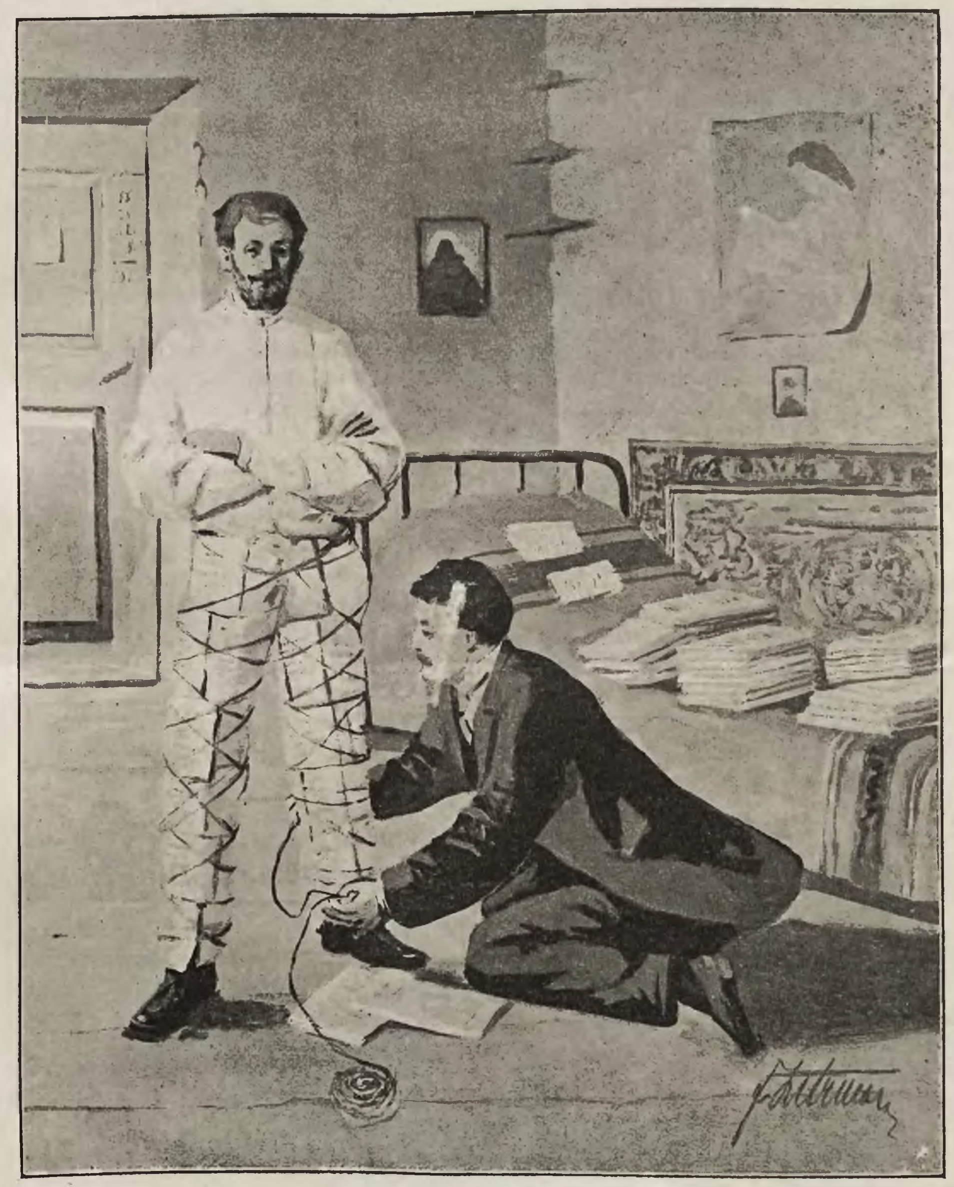
— Każe pan... wino? piwo?

Osądził, że piwo smakowałoby mu nadzwyczajnie, gdy taki upał otacza jego ciało, ale oszczędność wzięła górę.

— Wodę sodową — rozporządził.

Garson po chwili przyniósł potrawę, syfon z wodą i widząc takiego pana, rzekł bardzo uprzejmie:

— Czy pomódz zdjąć futro? Będzie wygodniej, a w sali gorąco.



i biorąc po kilka broszur, bandażował najpierw nogi.

Walczak spojrzał chmurny na niego i odpowiedział krótko:

— Nie trzeba... nie jest mi gorąco.

Zajął się jedzeniem, polędwica smakowała mu bardzo, ale mimo to nie opuszczały go smutne myśli. Jeśli bowiem garson dziwi się, że on siedzi we futrze, jakże łatwo inni, którzy śledzą i szpiegują podróżnych, mogą powziąć podejrzenie i wezwą go do osobistej rewizyi. Na tę myśl nawet polędwica wydała mu się mniej smaczną.

Napił się zimnej wody i to go orzeźwiło, weselej spojrzał na salę, wtem wszedł podoficer żandarmski i zaczął oczyma szukać kogoś po sali, przechodząc zwolna pomiędzy stołami.

— A jeśli to mnie? — błysnęło mu — wielka historya, to posiedzę w więzieniu. Lekcye oddam innemu i będzie wszystko w porządku... no, nie bardzo... mam cudze ubranie na sobie, cudze futro, cudzą czapkę i nawet nie mam jak wynagrodzić, odkupić. To cudze ubranie i futro nasunęło mu posępne uwagi nad złemi skutkami pożyczania wartościowych rzeczy.

Rozmyślając, śledził pilnie z pod oka podoficera i doznał wielkiej ulgi, widząc, jak ten zbliżył się do jednego z panów i coś mu powiedział, na co ten skinął głową i jadł dalej.

Wstąpiła weń otucha, że jednak uda mu się przemycić te książki i weselszym tonem kazał podać drugi syfon.

Nareszcie zabrzmiał drugi dzwonek i Walczak zwolna, ostrożnie powlókł się na peron dworca. uprosił konhuktora o przedział osobny i usiadł.

— Teraz przyniesie paszport oficer żandarmski i pojadę.

Nagle drgnął i pobladł... jakie nazwisko jest w paszporcie? jak on się nazywa? Napróżno wysilał pamięć, a przecież jeszcze w drodze zaglądał do paszportu, czytał i teraz uleciało mu zupełnie z pamięci.

Odtworzył sobie obraz, gdy czytał to nazwisko... tak, na zielonkawem tle był orzeł austryacki... lecz nie idzie o orła. Potem widział wydrukowany napis: paszport... i takie kancelaryjne pismo, które mu się podobało. Tem pismem oznaczone było nazwisko... tak, pamięta dobrze, kończyło się na *cz* z punktem regularnym... czy nie *wicz*? Tak, na *wicz*, ale co przedtem, co przedtem?

Rozległ się drugi dzwonek.

Zimny pot go oblał, za chwilę przyjdą żandarmi; spojrzał przez okno wagonu, już się rozstawiają przy drzwiach... a więc jakie nazwisko?

Wicz... wicz, powtarzał, i porwała go pasya, szepnął z gniewem: no, do roboty głupi mózgu!

Już otwierają drzwi wagonu, słyszy dzwonienie ostróg.

Zamknął oczy, niech się co chce dzieje, powie Walczakowicz... ależ tam nie była początkowa litera W, tam była litera... Z.

Roześmiał się głośno, z radością, przecież on nazywa się: Jan Zarwałowicz! Tak jest... no, niech przychodzą, a w drzwiach stał oficer i z ukłonem wojskowym zapytał:

— Kak wasza familia?

— Jan Zarwałowicz — odpowiedział głośno i po chwili miał paszport.

Przyjrzał się uważnie nazwisku i uśmiechnął się z pewną dumą, bo jednak pamiętał.

Jak tylko pociąg ruszył, zasłonił okna firanką, rozebrał się i przecinając sznurki, ściągał ze siebie broszury, wtłaczając je do kuferka.

Za Ząbkowicami uporządkował broszury i przygotował przeznaczoną paczkę do Częstochowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Wawel w chwili objęcia go przez naród: Brama wjazdowa w pałacu królewskim na Wawelu.

Wawel w chwili objęcia go przez naród.

Do najwspanialszych i najdroższych sercu każdego z nas pamiątek, należy bezwątpienia Wawel. Stara siedziba naszych królów co dawno zeszli z tego świata, stoi niewzruszenie i wyniośle, urągając wszelkim pogróżkom naszych wrogów, śmiejąc się z ich daremnych wysiłków, zmierzających do zniszczenia nas. Lata mijają, ludzie mrą, Wawel trwa dotąd i trwać będzie wieki.

Że Wawel, ta starodawna siedziba naszych królów, jest faktycznie tak drogim dla każdego prawego Polaka, najwymowniejszym chyba dowodem te ciągłe wycieczki, jakie urządzają ze wszech stron staraniem osób, znających dobrze i rozumiejących doniosłość i znaczenie tej uroczystej chwili, kiedy grono rodaków, przybyłych z najdalszych nieraz kresów, posterunków najbardziej przez naszych nieprzyjaciół zagrożonych, zwiedza wszystkie tak drogie dla nas pamiątki. Tu na ziemi rdzennie polskiej, gdzie pozwolono nam swobodnie używać naszej mowy ojczystej, mogą oni bez przeszkody podziwiać te wspaniałe kościoły, w których ojcowie nasi modlili się żarliwie w chwilach goryczy i zwątpień, piękne budowle, pomniki wzniesione ręką wdzięcznego ludu dla zasłużonych mężów i bohaterskich postaci narodu, tutaj mogą popatrzeć na mogiły, usypane przez stutysięczny tłum, poczuwający się do wdzięczności dla bohatera, tu, w Krakowie, słuchając mowy polskiej, mogą pozyskać silniejszą wiarę i z większą otuchą w sercu kroczyć dalej uciążliwą drogą.

Bo czyż Wawel, który, jak powiada ludowa piosnka, kryje w swem łonie tyle pamiątek świętych dla naszych rodaków, nie może wycisnąć łez temu, kto setki mil biegł z narażeniem swego życia i wśród tysięca trudów po to, by jego widok pokrzepił nadwątlane jego siły. Czyż Wawel nie jest tem ogniskiem, przy którem serca nasze mają się ogrzać i zapłonąć wielkim ogniem gorącej miłości ojczyzny? Wawel dawniej, a dziś — słowa te dziwnie smutno brzmią w naszych uszach, tem smutniejszym zaprawdę jest widok dla nas, którzy znaliśmy dawniej Zamek, choć z opowiadań.

Jeżeli porównamy Wawel dawniejszy, wspaniały, błyszczący od złota i przepychu z widokiem Wawelu teraźniejszego, jaki uderza nas natychmiast, skoro tylko obejmiemy go wzrokiem, musi nas zdziwić niepomiernie, że ten wspaniały zabytek, gmach, pełen tak drogich pamiątek dla każdego z nas, słynący ze swej okazałości na tysiące mil wokoło, że Wawel ten tak smutne dziś sprawia wrażenie.

Gdzie ten przepych, gdzie okazałość, jaką odznaczali się nasi przodkowie, gdzie ta świetność naszych królów?

Wawel dzisiejszy po opuszczeniu go przez wojskowość nie prezentuje się na zewnątrz tak pięknie, jak dawniej, już nie bije od niego wspaniałość i przepych.

Odrapany i zniszczony w tak krótkim czasie do niepoznania, musi w oczach każdego łzy wywołać. Wejdźmy naprzykład na dziedziniec pałacu królewskiego. Gdyby nie fakt, że marmurowe kolumny, podpierające gmach cały, omurowano do około, to byłyby one podzieliły los innych naszych pamiątek.

Wnętrze Wawelu jeszcze gorzej wygląda. Sale zanieczyszczone i pełne gruzów zdają się skarżyć do zwiedzających, jakby chciały potwierdzić znikomość wszystkiego, co ziemskie. Gdzie królowali Piastowie i Jagiellonowie, tam później biwakowali żołdacy, kędy przesunęła się tylko ich ciężka ręka, wnet kwitnące gmachy zmieniały się w gruzy i ruinę.

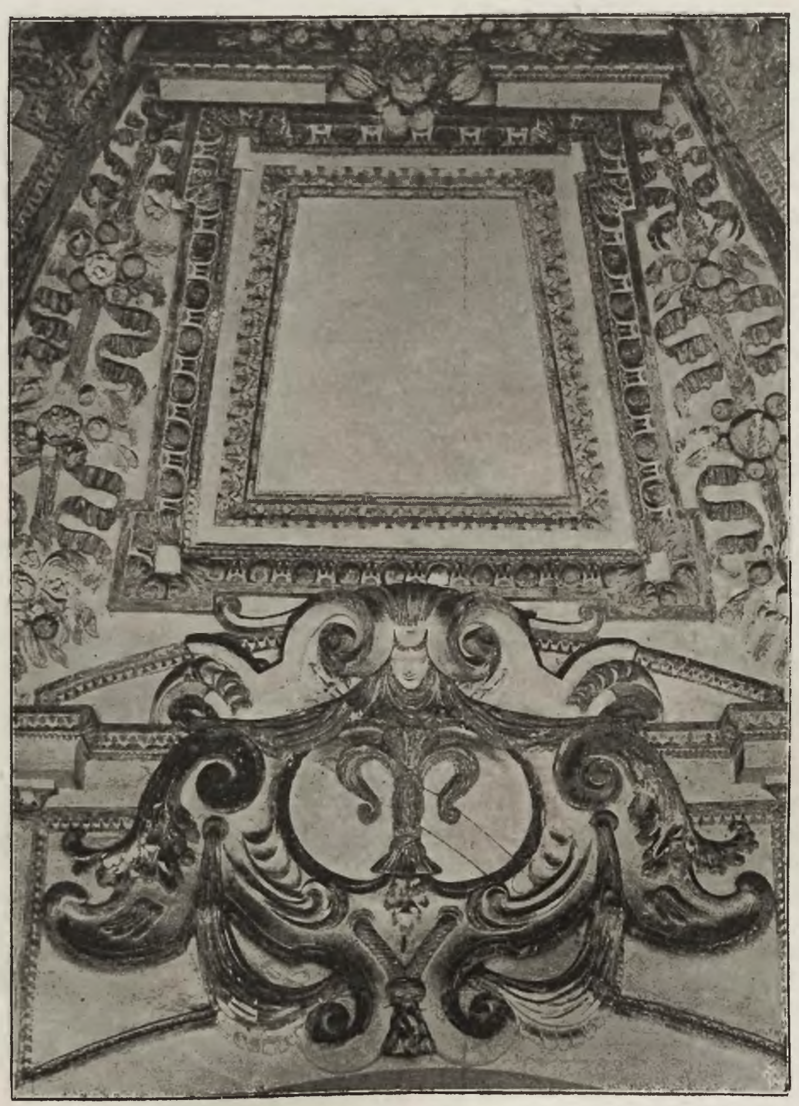
Komitet narodowy, złożony z ludzi światłych i rozsądnych obywateli, dokłada wszystkich starań, by gruzy i ruiny napowrót uczynić podobnemi do królewskiej stolicy. Praca, dzięki energii i usilnym trudom, postępuje szybko naprzód, niedługo też ujrzymy przed sobą Wawel taki, jakim był przed laty, nim zamieszkali w nim niemili dla nas goście.

* * *

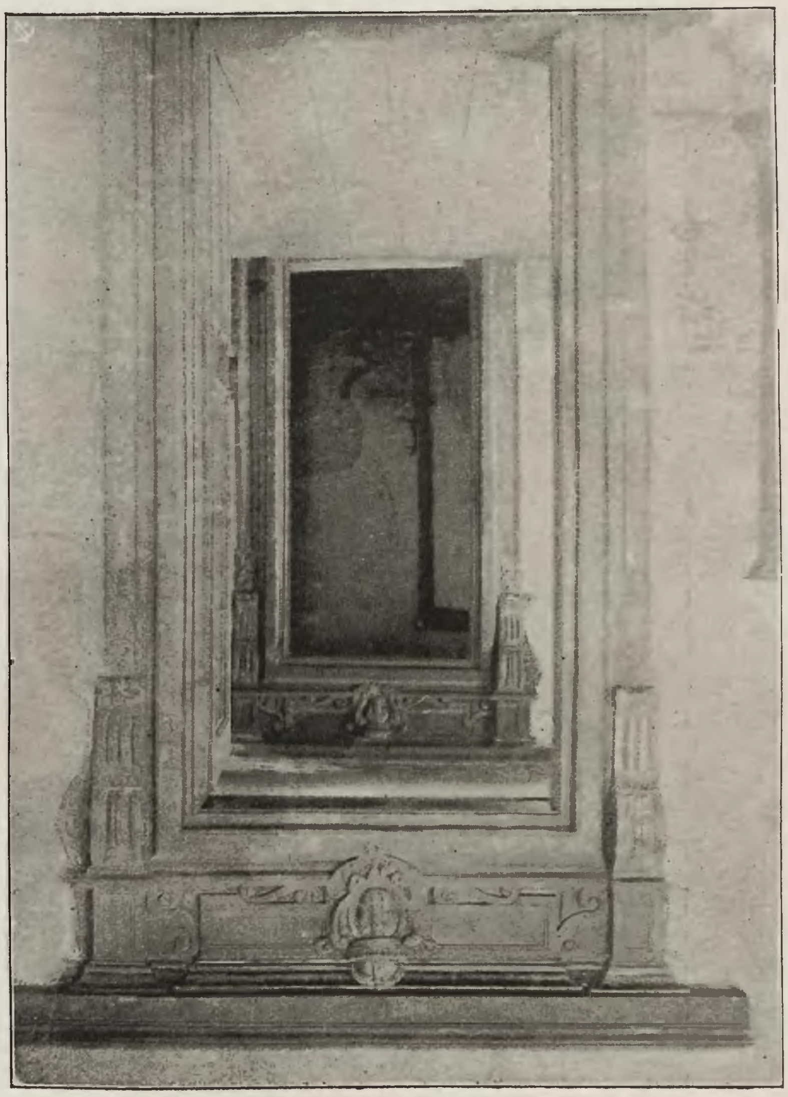
Illustracye nasze przedstawiają: bramę wjazdową w pałacu królewskim, kolumnadę pałacu królewskiego, sufit w kaplicy królowej Jadwigi, oraz marmurowe odrzwia w komnacie Jadwigi.



Zjazd galicyjskich urzędników podatkowych w Przemyślu: Uczestnicy Zjazdu. Fot. M. Todt, Przemyśl.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Wawel w chwili objęcia go przez naród: Sufit w kaplicy królowej Jadwigi.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Wawel w chwili objęcia go przez naród: Odrzwia marmurowe w komnacie królowej Jadwigi.

Zjazd galicyjskich urzędników podatkowych w Przemyślu.

Urzędy podatkowe w Galicyi, to instytucye rządowe, najbardziej może ze wszystkich podobnych instytucyi znienawidzone, a przynajmniej nie cieszące się sympatyą ludności. Podatki, wygórowane i wyciągnięte do ostatnich możliwych granic, u nas szczególnie, w Galicyi, w jednym z najbiedniejszych krajów monarchii, spowodowały, że nie mamy zaufania do tych urzędów, że patrzymy na nie z bojaźnią, pewni, że nam stamtąd zawsze grozi jaka niespodzianka.

Urzędnicy, zajęci w urzędach fiskusowych, znając to swoje położenie i widząc, że urzędy podatkowe potrzebują teraz znacznych reform, ażeby mogły stać się tem, czem być powinny, rozpoczęli energiczną akcyę w tym kierunku. Chodzi im zaś nietylko o reformy czysto administracyjnej natury, ale kładą także główny nacisk na manipulacyę i stosunki awansowe.

Celem omówienia tych spraw, jakoteż celem wspólnej narady nad dalszemi krokami w tej sprawie, odbył się 20 b. m. w Przemyślu, w sali „Sokoła“, zjazd galicyjskich urzędników podatkowych. W zjeździe wzięło udział 150 uczestników Cyfra ta świadczy wymownie, że urzędnicy podatkowi z całą energią wzięli się do dzieła. Ze strony krajowej Dyrekcyi skarbu wydelegowano na zjazd starszego c. k. radcę skarbu Michała Osadę i radcę Ludgarda Schächtla. Imieniem komitetu powitał zjazd starszy kontrolor podatkowy p. Izaak Schreiber, poczem zagaił zjazd przezes Tow. urzędników podatkowych p. Władysław Waltenberger, starszy poborca podatkowy. Obrady trwały cały dzień, z jednogodzinną tylko przerwą obiadową. Wieczorem zaś odbył się wieczorek taneczny.

Załączona obok fotografia przedstawia uczestników zjazdu.

Krzyż na pobojowisku w Kobylance pod Lublińcem.

„Quam dulce et decorum est pro patria mori“ — „Jakżeż słodko i zaszczytnie umierać za ojczyznę“!

Z temi słowy na ustach rzucali się nasi ojcowie na przerażające zastępy pohańców, nie wahając się krew przelać, byle tylko ocalić zagrożoną ojczyznę.

Gorąca miłość kraju, tej ziemi, którą od wieków zajęli nasi pradziadowie, o którą ustawiczne i krwawe boje staczali, miłość ojczyzny była zawsze tą najściślejszą spójnią, łączącą wszystkich synów jednej matki, jednającą powaśnione rody, miłość do rodzinnych stron sprawiała zawsze zadziwiające cuda. Krwawe lata roku 1863, kiedy młodzież polska, nieprzyzwyczajona do knuta moskiewskiego, zerwała się do boju z przeważającemi siłami cara, by wywalczyć krwią przelaną wolność sobie i swym braciom, lata te świadczyć będą po wsze wieki o waleczności i dzielności naszych przodków. Liczne pobojowiska, na których bielały kości bohaterów naszych, otaczane są słuszną czcią przez potomnych. Królestwo Polskie obfituje w podobne pobojowiska, tam prawie każda wieś chowa w swem łonie kości poległych wojowników za ojczyznę i wolność.

Jedną z najbardziej krwawych potyczek stoczono z nawałą Moskali pod Kobylanką pod Lublińcem w cieszanowskim powiecie. Aby to miejsce uczcić, ustawiono tam teraz staraniem ks. Sapiehy wielki krzyż dębowy, okolony wieńcem sosen stuletnich, w których tkwią jeszcze kule moskiewskie. Na krzyżu widnieje napis: „Poległym za wolność i ojczyznę“.

Dzięki życzliwości leśniczego lasów tamtejszych p. Emila Uromskiego, który przesłał nam fotograficzne zdjęcie pamiątkowego krzyża, możemy podzielić się podobizną krzyża z czytelnikami. Pod krzyżem widzimy rodzinę p. Uromskiego, oraz nauczycielkę z Lublińca p. Stefanię Gajer.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków
Wawel w chwili objęcia go przez naród: Część dziedzińca w pałacu królewskim z kolumnadą.



Krzyż na grobie powstańców w Kobylance pod Lublińcem: Widok krzyża.

Człowiek na łańcuchu.

W XX. wieku cywilizacyi chrześcijańskiej dzieją się niejednokrotnie wypadki, na widok których groza przejmuje i włosy stają na gł wie. Zdaje się wtedy, że nie żyjemy w czasach, kiedy religia chrześcijańska, rozszerzona po całym świecie, wpływa zapomocą swych ożywczych promieni uszlachetniająco na umysły ludzkie, i kiedy owoce tak mozolnej pracy na tem polu ujawniają się na każdym kroku.

„Człowiek na łańcuchu"! Czyż to możliwe, by w XX wieku zdarzyło się coś podobnego? Fakt przejmuje nas dreszczem, wprost zakrawa na bajkę. Tymczasem stwierdzony został przez wiarygodne osoby. Pisma rosyjskie szeroko o nim pisały.

Zbrodnia ta niesłychana zaszła w Starokonstantynowie przy ulicy Żytomierskiej. Opodal cyrkułu policyjnego zamieszkała w domu Alperina uboga familia żydowska. A biedny był ich cichy żywot, bo stary Hofsztajn, głowa domu, musiał utrzymywać słabowitą żonę i 20-letniego syna, cierpiącego od lat kilku na poważną chorobę umysłową. Stary Hofstajn miał pracownię jubilerską, a małe zyski, jakiemi musiał się zadowolnić, nie wystarczały na leczenie chorego umysłowo syna. Tak trwało to czas jakiś. Młody Hofstajn pomagał ojcu w pracowni, a choroba jego zaczynała się od pewnego czasu zmniejszać, do tego stopnia, że biedni rodzice, nie mogąc łożyć na wyleczenie chorego syna potrzebnych pieniędzy z powodu braku funduszów a czasem nawet najniezbędniejszych środków do życia, poczęli powoli zyskiwać nadzieję, że jakoś to przecie będzie.

Tymczasem zaszła rzecz nieoczekiwana.

Pewnego razu powrócił młody szaleniec z warsztatu o zwykłej porze, ale tak pokaleczony, że go formalnie poznać było trudno. Ohydne rany kazały się domyślać, że nad biednym człowiekiem dokonano wstrętnej zbrodni, bo ciało nieszczęśliwego wyrywane było kleszczami. Ból musiał być okropny, bo nieszczęsna ofiara niegodziwego i nieludzkiego sprawcy, wydawała jakieś dzikie, szalone głosy. Młody Hofstajn popadł w niebezpieczne obłąkanie.

Skoro choroba jego poważniejsze poczęła przybierać rozmiary, stał się dla rodziców, już i tak pracujących w pocie czoła na kawałek chleba, po prostu nieznośnym. Starali się pozbyć go za jakąbądź cenę, dłuższy czas atoli chodzili bezradni. Wreszcie posłuchali rady jednego ze znajomych. Syna należało od reszty ludzi odgraniczyć, dlatego też za resztki uszperanych pieniędzy wysłano go do lecznicy dla umysłowo chorych w Winnicy.

Z niewiadomych przyczyn prośbie o przyjęcie odmówiono, a zrozpaczeni rodzice, pozbawieni z powodu konieczności ustawicznego czuwania nad synem możliwości jakiegokolwiek zarobku, chwycili się strasznego środka.

Nieszczęśliwego furyata przywiązano łańcuchem do kraty okna ciemnej i wilgotnej suteryny. Okno zasłonione okiennicą nie przepuszczało promieni słonecznych, tak że w więzieniu biednego człowieka panowała szalona ciemność.

Kiedy odsłoniono na chwilę okiennicę, oczom przybyłych przedstawił się straszny widok. Wprost trudno uwierzyć, by coś podobnego mogło wogóle mieć miejsce. Patrzącym zdawało się, że widzą przed sobą jedną z ofiar osławionej inkwizycyi hiszpańskiej.

Nagi kompletnie człowiek szarpał się ku nim na łańcuchu, wydając jakieś nieludzkie okrzyki! Z pod czarnych brwi spoglądały mętne, rozpalone oczy, jakby z wyrzutem, że na taką zbrodnię patrzeć można bezkarnie. Urywane słowa świadczyły, że promienie słoneczne rażą go niemiłosiernie, biedny szaleniec odwracał się od ożywczego słońca.

Za chwilę zapadła okiennica więzienia, jak kamień nad grobem żywego człowieka! Dzień i noc męczy się tak nieszczęsna ofiara, a dzikie głosy, jakie słyszą przechodnie n e przeszkadzają modlitwom w sąsiedniej synagodze, nie zakłócają śpiewu na cześć Najwyższego!

* * *

Złączona illustracya przedstawia nieszczęsnego Hofsztajna w jego strasznem więzieniu.



Człowiek na łańcuchu: Obłąkany Hofstajn w swem strasznem więzieniu.



(Treść na str. 3). Fot. M. Todt. Przemyśl.

Wyścigi konne w Wyszatycach: Publiczność, przypatrująca się wyścigom z trybun.

Lwowski instytut muzyczny.

Z nowym rokiem szkolnym powstaje we Lwowie na wielką skalę zakrojona instytucya muzyczna. Cel, jaki sobie lwowski instytut muzyczny— bo taka jest oficyalna nazwa tej instytucyi — zakreślił, jest bardzo piękny. Oto umożliwi on polskim talentom muzycznym wykształcenie się w kraju do najwyższego stopnia doskonałości artystycznej, aby zbytecznem było kosztowne udawanie się zagranicę. W tym celu zapewnił sobie instytut muzyczny współudział pierwszorzędnych sił pedagogicznych, bo tylko z pierwszorzędnemi siłami można się ważyć na takie przedsięwzięcie.

Na czele instytucyi stoi p. Anna Niementowska, właścicielka zaszczytnie od wielu lat znanej szkoły gry na fortepianie, poprzednio w Stanisła-

wowie, później we Lwowie. Osoba młoda, pełna energii i zapału. Wiemy, że przedsięwzięcie, jakie wzięła na swe barki, choć trudne niezmiernie, choć bardzo odpowiedzialne, powiedzie się jednak szczęśliwie.

W instytucie lwowskim wprowadzoną zostanie metoda Leszetyckiego, uznana powszechnie za najlepszą. Głównym przedstawicielem tej metody będzie tu Ignacy Friedman, wirtuoz pianista światowej sławy, który cudowną, przepyszną grą zdobył sobie uznanie jednogłośne. Ale p. Friedman jest też znakomitym pedagogiem i specyalistą w metodzie Leszetyckiego; jest przecież jego pierwszym asystentem, co samo za siebie mówi.

Obok niego pracować będzie p. Natalia Löwenhofówna, Warszawianka, która po ukończeniu



Lwowski instytut muzyczny: Pani Löwenhof.

studyów u **Michałowskiego w Warszawie**, kształciła się jeszcze u Leszetyckiego w Wiedniu, a okazawszy się tam znakomitą interpretatorką metody mistrza, zdobyła sobie stanowisko jego asystentki. P. Löwenhofówna występowała kilkakrotnie w koncertach w Warszawie i w Krakowie, a krytyka uznała ją zgodnie „wielką artystką", najbardziej utalentowaną z pomiędzy uczenic Michałowskiego.

W dzisiejszym numerze podajemy portrety p. Niementowskiej i Löwenhofównej.



(Treść na str. 12). Fot. L. Hirschsprung Lwów.

Zamordowanie syonistycznego redaktora: Sekcya sądowo-lekarska zwłok Hornsteina.

Katastrofa automobilowa.

Bawiący w kraju na urlopie u swej rodziny radca dworu w ministerstwie rolnictwa p. Fryderyk Wazl padł dnia 21 sierpnia ofiarą nieszczęśliwego wypadku. W poniedziałek wybrał się z Solki, gdzie bawił dni kilka u swego zięcia właściciela tartaku parowego p. Fryderyka Wickego, automobilem do Czerniowiec.

Na terenie górzystym między Franzthalem a Tereszenami automobil, który pędził z szaloną chyżością (mniej więcej 70—80 klm. na godzinę) na skręcie zawadził tak silnie o drzewo, że został zdruzgotany, a pasażerowie wyrzuceni z siedzenia wypadli z wozu, przyczem p. Wazl tak fatalnie upadł, że padł trupem na miejscu.

W automobilu prócz p. Wazla znajdowali się wspomniany zięć tegoż, właściciel fatalnego automobilu, syn, który jest słuchaczem praw i palacz Kurt Müller z Berlina. Ten ostatni odniósł lekkie obrażenie i przywieziony został do szpitala powszechnego w Czerniowcach, pp, Wicke i Wazl, syn nieszczęśliwej ofiary wyszli bez szwanku.

Rycina nasza przedstawia miejsce katastrofy automobilowej z bawiącą tam komisyą sądową, złożoną z sekretarza sądowego Dra Weissellbergera, inżyniera kolej., Fröhlicha i dyrektora zakładu elektrycznego.

Ś. p. Fryderyk Wazl był synem żyjącego w Czerniowcach em. radcy namiestnictwa p. Juliusza Wazla; urodził się 1 marca 1856 w Husiatynie, nauki gimnazyalne pobierał w gimnazyum czerniowieckiem, na prawa uczęszczał we Lwowie i w Czerniowcach.

W r. 1877 wstąpił do służby rządowej jako praktykant konceptowy buk. Rządu krajowego. W kwietniu r. 1883 przeniósł się do dyrekcyi dóbr buk. gr. or. funduszu religijnego jako adjunkt administracyjny i już w październiku tego roku powołany został do służby w ministerstwie rolnictwa, gdzie w r. 1885 awansował na wicesekretarza, a w r. 1894 na sekretarza. W r. 1902 zamianowany został radcą dworu. Szybko stosunkowo do swego wieku karyerę zawdzięczał swym wybitnym zdolnościom i był upatrzonym kandydatem na wiceprezydenta obu galicyjskich dyrekcyi domen i lasów, która to posada na usilne domagania się Koła polskiego miała być utworzoną.

Zwłoki nieboszczyka przywieziono do Czerniowiec, skąd po pobłogosławieniu w kościele rzym.-kat. przewiezione zostały dnia 23 sierpnia do Wiednia, gdzie spoczną w grobie rodzinnym.



Katastrofa automobilowa: Komisya sądowa na miejscu katastrofy między Franzthalem a Tereszanami na Bukowinie. Fot. J. Krzanowski. Czerniowce.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

6 (Ciąg dalszy).

— Zawołałem za panem „dzisiaj w nocy u ojca Noego“, a że pan przyjdzie, to byłem o tem przekonany. Drogę pan zna dobrze, bo gdy mię pan zamawiał do oddania znanej przysługi, trafił pan odrazu! Zresztą mogę panu się przyznać, że od samego początku uważałem pana za jednego z naszych, pomimo pańskiego przebrania! Nie jest to przecież rzadkością, że człowiek, tak zwanego eleganckiego świata, przebiera się i szuka między nami zucha, któryby powybierał dla niego kasztany z ognia.

— Za te kasztany — krzyknął markiz — zapłaciłem ci przecież porządnie, czegóż chcesz jeszcze?

— Bardzo proste, panie markizie! Potrzebuję pieniędzy! Chciejmy tę sprawę prędko zakończyć, bo uczuwam głód i pragnienie. Ojciec Noe będzie się zresztą już dziwił, że nie dostał polecenia, by przynieść dla nas flaszkę wina i jakąś przekąskę.

Markiz podniósł się ze stołka i zapinał swój poplamiony surdut. Wydobył z portfelu kilka banknotów i położył je na stole.

Pożądliwym wzrokiem śledził zbrodniarz każdy ruch markiza.

— To już ostatek! Zapamiętaj sobie raz na zawsze — rzekł Lerma, chowając portfel do kieszeni.

Szybkim ruchem chwycił „Lis“ banknoty i schował je do kieszeni spodni.

— Spotkałem wczorajszej nocy stróża kostnicy i ten mi powiada, że z całej tej historyi — pan wie, o czem mówię — powinno i jemu się coś dostać. Powiedziałem mu, że przecież należną mu się część już otrzymał i powinien siedzieć cicho. Wtedy zaczął coś bąkać, że może iść do policyi i t. d.

Markiz odrzekł szyderczo:

— Niech-no tylko spróbuje! Czy mu nie powiedziałeś, że przy tem naraża i swoją głowę?

— Jest on głupi, jak tyka grochowa, a przy tem uparty, jak amerykański wół. Nie ma więc co długo się bawić. Szczęście, że przynajmniej nie wie, dla kogo preparował trupa. Historya była dość skomplikowana, a prawdę powiedziawszy, nie ma on znów zupełnie nie słusznie. Powinno mu się zatkać pysk kilku frankami.

Markiz zgrzytał z wściekłości zębami, lecz po krótkim namyśle otworzył po raz drugi portfel i rzucił na stół banknot.

— Jesteście prawdziwe pijawki! Zatkaj mu tem gębę! Lecz, jeżeli myślisz, że zdołasz jeszcze na mnie co wymódz, to grubo się mylisz, bo prawdopodobnie w najbliższym czasie wyjadę.

— Dokąd-że to, jeśli wolno spytać?

— Nic cię to nie obchodzi!

Lis zaśmiał się w obrażający sposób.

— Przegrał pan sprawę, którą pan tak pięknie nawiązał.

Markiz zrobił minę, która wskazywała na to, że Lis zgadł.

— Nie troszcz się, chłopcze, o moje prywatne stosunki — dorzucił krótko. — Zanim jednak odejdę, chciałbym, byś mi odpowiedział na parę pytań.

— Jak się to odbyło na ulicy św. Marcina? bo mnie się zdaje, że nie wszystko było w porządku!

Lis przymknął oko i odpowiedział:

— Jeżeli ja już co wezmę w ręce, to musi się udać, panie markizie! Może pan być tego pewny! Czy nie załatwiło się wszystkiego zręcznie, czy nie znaleziono trupa księcia w Sekwanie?

Markiz patrzył ponuro przed siebie, następnie rzekł:

— Dama, w której właściwie imieniu działałem, nie była, jak mi się zdaje, zupełnie ze mną szczera, bo początkowo nie wiedziałem nic o czarnej szkatułce, którą posłała do pałacu barona de Brepont. Gdyby mi odrazu powiedziała, jaki właściwie zachodził przedtem stosunek między nią a księciem, to może trzymałbym się zdala od całej awantury. Teraz, niestety, za późno! Paryska policya pracuje z całem natężeniem nad wykryciem sprawców, dlatego powinieneś z pieniądzmi, któreś dziś otrzymał, zniknąć na jakiś czas z Paryża, co i ja również uczynię.

— Zastanowię się jeszcze nad tem — rzekł Lis.

Markiz nasunął podarty kapelusz głębiej na czoło i skierował się ku drzwiom. Nadsłuchiwał, czy nie usłyszy jakiego szmeru z kurytarza, bo przebiegłość zdawała się go nie opuszczać ani na chwilę. Wszystko jednak było w zupełnej ciszy, dlatego wszedł szybko do ciemnej sieni.

Lis siedział jeszcze chwilkę przy świetle świecy i uśmiechał się dziwnie; był on w wybornym humorze, wyciągnął z kieszeni banknoty i oglądał je przy świecy.

— Piękne papierki — mruczał zadowolony. — Byłbym chyba największym głupcem, gdybym dał jeden z nich stróżowi kostnicy. Gdy zacznie być zbyt natarczywy, dam mu z tyłu przyjacielskie pchnięcie. Cóż będę winien, że będzie stał właśnie nad brzegiem kanału Sekwany i straci równowagę!

Powiedziawszy to, wybuchł łotr głośnym śmichem, wsunął banknoty do kieszonki kamizelki i chciał opuścić pokoik, by z frontu u ojca Noego wypić jeszcze flaszkę wina.

Zbliżywszy się do drzwi, stanął nagle. Czyż z korytarza nie dolatywał jakiś szmer? Czyżby to markiz powracał? Według obliczeń Lisa, musiał on dawno opuścić piwnicę, bo drzwi, prowadzące do izby gospodnej, już dawno zamknęły się cichutko za markizem.

Lis mimowoli wyciągnął rękę ku światłu, by je zgasić. Jeżeli grozi niebezpieczeństwo, to najlepiej ujść jeszcze w zupełnej ciemności.

Do drzwi komórki zbliżał się ktoś rzeczywiście, włócząc nogami. Jedno ściśnięcie palców wystarczało i świeca zgasła. Zupełna ciemność otoczyła teraz Lisa, a on sam zasunął się w najgłębszy kąt i szukał ręką krótkiego, podobnego do sztyletu noża, który zawsze nosił ze sobą.

Jakaś ręka dotknęła drzwi.

Lis słyszał szmer, który przy tem powstał. Nie ruszył się jednak nawet, gdy ktoś wszedł do izdebki. Mógł to być ojciec Noe.

— Hej! gdzieżeś się tam schował, Lisie? — odezwał się głos, ochrypły z alkoholu.

Złoczyńca wyprostował się nieco. Był to jeden z jego znajomych, który go tu szukał. Prawdopodobnie wysłał go do izdebki ojciec Noe. Lis nie przypominał sobie wprawdzie, aby słyszał kiedykolwiek ten głos, lecz jego nieufność znikła.

— Tutaj jestem — odpowiedział. — Czegóż do dyabła chcesz odemnie?

W tejże chwili błysło światło ślepej latarki i biały, niezwykle silny promień padł na Lisa.

Z nawpół przytłumionym okrzykiem wściekłości rzucił się w tył i wydarł nóż z kieszeni. Również szybko otrzymał uderzenie w piersi, które odrzuciło go w najgłębszy róg izdebki. Skoro się znowu podniósł, aby się rzucić powtórnie na napastnika, ujrzał przed sobą włóczęgę, ubranego jeszcze gorzej od siebie. Niezwykłem przy tem było tylko to, że ów człowiek trzymał w lewej ręce jasno świecącą latarnię, a prawa mierzyła rewolwerem w Lisa.

— Ani się rusz — ani piśnij! — rozkazał nieznajomy.

Lis otworzył szeroko oczy, bo sądził, że się przesłyszał. Głos był całkiem inny od tego, który słyszał przed chwileczką.

— Czegóż chcesz odemnie? — zapytał, ciągle obejmując kurczowo nóż.

— Jesteś moim więźniem, Piotrze Gramont, przezwany lisem! Odrzuć nóż, bo zanim zdołałbyś go przeciwko mnie użyć, strzaskałbym ci rękę, albo i głowę! Nie łudź się mym wyglądem, bo jestem tym, o którym może już słyszałeś między swymi towarzyszami! Jestem „Szklane oczko“!

Nazwisko, budzące między zbrodniarzami paryskimi grozę, a do tego okoliczności, wśród jakich spotkał się z nim Lis, podziałało wprost druzgocąco na niego.

— Rzuć nóż! — zabrzmiał jeszcze raz głos detektywa.

Głos ten zbudził Lisa z chwilowego odrętwienia. Wiedział on, co go czeka, jeśli wpadnie w ręce policyi. Myślał, że skoczywszy nagle, zbije z nóg agenta i ujdzie; lecz grubo się pomylił, bo w tej chwili huknął strzał, a ręka z nożem opadła na dół.

Nóż wypadł z ręki Lisa, a on sam zatoczył się pod ścianę.

Detektyw otwarł drzwi i kazał przebranym agentom wyprowadzić złoczyńcę do karetki, oczekującej na niego przed piwnicą ojca Noego. Żaden z kolegów, zebranych w piwnicy, nie ruszył nawet palcem w jego obronie, bo z przybyciem karetki ukazał się w drzwiach komisarz policyi, w pełnym uniformie, przeglądając jednego za drugim.

Skoro Lis z eskortą znikł, zbliżył się komisarz do ojca Noego i rzekł krótko:

— O tem, co zaszło, należy zachować milczenie. Zresztą ci tam nie potrzebują się niczego obawiać, bo tej nocy już nie wrócimy!

Powiedziawszy to, wyszedł.

Należy tutaj dodać tylko pewne objaśnienie. Gdy markiz znikł wraz z Lisem, detektyw, który siedział czekając za piecem, skorzystał z kłótni, jaka między łotrzykami wybuchła i wśliznął się w kurytarzyk, gdzie przyłożywszy ucho do drzwi, wysłuchał całej rozmowy markiza z Lisem. Bo też Lis był cennym nabytkiem dla policyi. Gdyby przedtem uwięziono markiza Lermę, to byłoby to przestrogą dla Lisa, który zniknąłby w Paryżu tak, że żaden z detektywów nie byłby go zdołał wyśledzić. Zaaresztować zaś obu nie było w planie detektywa, który też dlatego pozwolił spokojnie odejść Lermie, wtuliwszy się w ciemny kąt kurytarza, gdzieby go markiz nie zobaczył, chociażby zapalił światło. Po odgłosie kroków poznał, że markiz sam się oddalił, co mu było bardzo na rękę.

Po odejściu markiza zbliżył się „Szklane oczko“ do drzwi i wtedy prawdopodobnie powstał lekki szmer, który zwrócił uwagę Lisa i spowodował, że tenże zgasił światło. Wobec tego nie pozostawało detektywowi nic innego, jak użyć podstępu. Zmienił więc głos i w ten sposób dowiedział się, gdzie zbrodniarz się ukrył.

Co się dalej stało, to czytelnik już wie.

Markiz szybko i ostrożnie opuścił dzielnicę, w której znajdowała się knajpa ojca Noego, aby udać się do pokoiku, wynajętego pod fałszywem nazwiskiem, gdzie odbyła się metaformoza, bo z wstrętnego włóczęgi przemienił się napowrót w eleganckiego arystokratę. Podczas tego postanowił sobie dobrze nad tem pomyśleć, czy nie udałoby mu się pozyskać ręki Leontyny de Brepont. Bo baron mógł być może tylko tak tem zaskoczony, a teraz w szczęśliwszej godzinie mógłby go przyjąć za zięcia z otwartemi rękami.

Podczas tego, gdy markiz oddawał się swym słodkim nadziejom, siedział Lis, zakuty w kajdany w celi pałacu sprawiedliwości.

Mimo późnej nocy kazał go sędzia śledczy zaraz przyprowadzić, aby ściągnąć z niego, o ile możności, ważne dla niego zeznania, dotyczące całej sprawy. Lecz Lis zaciął zęby i nie odezwał się słówkiem. Sędzia był tem zrozpaczony, lecz „Szklane oczko“ pocieszył go, twierdząc, że po paru dniach zmięknie on tak, jak rzadko który.

VII.

W jednej z pierwszorzędnych kawiarni w Marsylii zjawiał się codziennie, o jednej i tej samej godzinie, od paru dni nowy gość, siadał przy tym samym stoliczku w kącie i kazał sobie zawsze podawać cały stos dzienników.

Był to mężczyzna około lat 50, chociaż nie można było tego twierdzić z pewnością, bo twarz jego nie zgadzała się z dobrze siwiejącymi, starannie wyfryzowanymi włosami.

Był zawsze czarno ubrany i nosił nie ostatniej mody cylinder. Z jego wysokiej, nieco pochylonej postawy sądzono, że musi on być pensyonowanym oficerem, urzędnikiem, lub czemś podobnem.

I dzisiaj zjawił się w kawiarni, zdjął palto i kapelusz, siadł przy tym samym stoliczku w kącie, przetarł fularową chustką ciemne okulary, przy czem jednak odwrócił twarz do ściany.

Kiedy kelner, przyniósłszy gazety i czarną kawę, oddalił się, odwrócił powoli głowę i przypatrywał się z poza okularów siedzącym w kawiarni. Następnie wziął do ręki paryskie „Figaro“ i zaczął czytać.

Nieznajomy rzucił wpierw dłuższe spojrzenie na siedzącego opodal paryskiego dandysa, który palił rosyjskiego papierosa i zdawał się nudzić. Kiedy nieznajomy zagłębił się w gazecie, począł nasz dandys bacznie go obserwować.

Nagle zdało mu się, że jakaś notatka obudziła szczególniejsze zainteresowanie się nieznajomego, bo pochylił się on głębiej nad gazetą i skupił całą uwagę.

Za chwilę przybrała jego twarz wyraz przerażenia i rozpaczy, lecz zaraz się opanował i popatrzył po sali, czy przypadkiem kto go nie obserwuje. I tym razem powiódł oczyma po dandysie i zatrzymał je na nim nieco dłużej.

Lecz ten zapalał właśnie nowego papierosa i zdawał się całkiem na naszego nieznajomego nie uważać. Lecz skoro tenże zagłębił się znowu w gazecie, utkwił w nim oczy na nowo. Notatka, jak się zdaje, była długa i tak go zajęła, że przestał się zupełnie troszczyć o innych gości. Nagle odłożył „Figaro“, wziął inny dziennik i szukać począł jakiejś rubryki, a kiedy ją znalazł, zadrżał znowu,

odłożył dziennik, pociągnął ręką po czole, podniósł się prędko, wyprostował, ubrał, zapłacił i wyszedł bez słowa z kawiarni.

Na ulicy przystanął, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Mruczał przy tem coś niezrozumiale i nakoniec westchnął głęboko. Następnie wolnym krokiem przeszedł wielki plac, oglądając się ostrożnie, jakby się chciał upewnić, czy go kto nie śledzi i zniknął w jednej z bocznych ulic. Nie zauważył jednak, że po drugiej stronie ulicy, na pozór zupełnie obojętnie, idzie za nim krok w krok paryski dandys.

Po wyjściu nieznajomego z kawiarni podniósł się on ze stołka i z zupełną obojętnością wyszukiwał rubryk, które czytał nieznajomy i znalazł je natychmiast. Uśmiech zadowolenia wystąpił mu na usta, bo nieznajomego zajmowały tak bardzo doniesienia policyjne.

— Jestem więc na tropie i moja obecna podróż nie będzie bezowocna — zamruczał.

Następnie zapłacił, zarzucił na siebie futerko i wyszedł, by iść krok w krok za nieznajomym.

Nieznajomy wsiadł na rogu pierwszej przecznicy do dorożki, która oddaliła się bardzo prędko.

Dandys zadowolony, że będzie mógł teraz śledzić nieznajomego, bez zwracania na się jego uwagi, zawołał na najbliższego dojeżdżającego dorożkarza:

— Dostaniecie 10 franków, jeżeli się wam uda dopędzić dorożkę Nr. 128 i towarzyszyć jej bez zwrócenia na siebie uwagi. Skoro się powóz zatrzyma, zwolnijcie tempo i przejedźcie dalej!

— Dobrze panie — zawołał woźnica i śmignął biczem.

Starszy jegomość nie przeczuwał nawet tego, że go ścigano; siedział w kącie powozu i patrzył tępo przed siebie. Niebieskie okulary spadły mu z nosa, a on na to nie zwrócił uwagi. Jakieś imię przeszło mu przez wargi, lecz turkot powozu stłumił brzmienie.

Po półgodzinnej jeździe zatrzymał się powóz w ciasnej uliczce i nięznajomy wyszedł z niego. Śnieg olśnił go i wtedy dopiero zauważył brak okularów. Odwrócił się nagle, począł szukać w pudle powozu okularów, nasadził je na nos i zapłacił woźnicy.

Drugi powóz przejechał powoli obok i począł niknąć w ulicy. Nieznajomy otworzył bramę niepokaźnego domu, zamknął ją za sobą i wszedł na czwarte piętro, na którym zajmował parę pokoików. Na drzwiach błyszczał na blasze napis: Hektor de la Croix, nauczyciel muzyki.

Nieznajomy wyszedł na schody elastycznym krokiem, bo tutaj nie mógł go już nikt obserwować. Rozprostował się, zamknął drzwi, rzucił w przedpokoju kapelusz i palto, a wszedłszy do pokoju, podszedł w milczeniu do krzesła i rzucił się ciężko w nie. Teraz, gdy go nikt nie mógł śledzić, między czterema ścianami, które nie mogły zdradzić jego tajemnicy, nie potrzebował się wcale krępować. Zasłonił twarz rękami i głuchy jęk wydobył się z jego piersi. Coraz straszniej układały się stosunki! Nie widzę wyjścia przed sobą i gdzie tylko spojrzę, wszędzie ogarnia mię rozpacz. Giza zginęła, zamordowana, jak twierdzi paryska policya! A ja, niestety, nie mogę iść im powiedzieć: To nie prawda, co przypuszczacie, wasze oczy nic nie widzą, bo wszystko złożyło się inaczej! A przy tem ta straszna trwoga, że każdy może mię poznać!...

Stary muzyk podniósł się po chwili z krzesła i podszedł do okna. Musiał się nieco uspokoić, bo wkrótce stanął przed lustrem i począł się przyglądać.

Nie, nikt nie może mię poznać; przynajmniej tego jestem pewny!

Hektor de la Croix zdjął teraz siwą perukę i rzucił ją na obok stojący stoliczek. Znikły także ciemne okulary i ten sam los spotkał siwe bokobrody. Gdy teraz czarno ubrana postać zwróciła się do okna, Hektor de la Croix przemienił się w księcia Anatola de Bligny.

W tejże chwili zadrżał książę. Co znaczyło to dzwonienie w przedpokoju? Nie utrzymywał przecież z nikim żadnych stosunków, a tabliczka na drzwiach była tylko czczą formą i nie potrzebował się też obawiać, by opadła go chmara uczniów.

Książę poruszył głową, jakgdyby sądził, że się przesłyszał. Odkąd tutaj mieszkał, nie było u niego nikogo, prócz starej, na pół głuchej posługaczki! Może to żebrak, lub kto podobny.

Ten ktoś zdawał się niecierpliwić, bo zadzwonił po raz drugi. Zaniepokojony, wyszedł książę do przedpokoju i podszedł ku drzwiom. Zapomniał całkiem, że odłożył perukę, okulary i bokobrody. Przez dziurkę zaczął się przyglądać przybyszowi i zobaczył przed drzwiami młodego człowieka, ubranego w futro, lecz z powodu ciemności, panującej w sieni, nie mógł rozpoznać rysów twarzy.

— Czego sobie pan życzy? — zapytał książę głośno, z pewnym niepokojem w głosie, którego mimo wszelkich usiłowań, nie mógł się pozbyć.

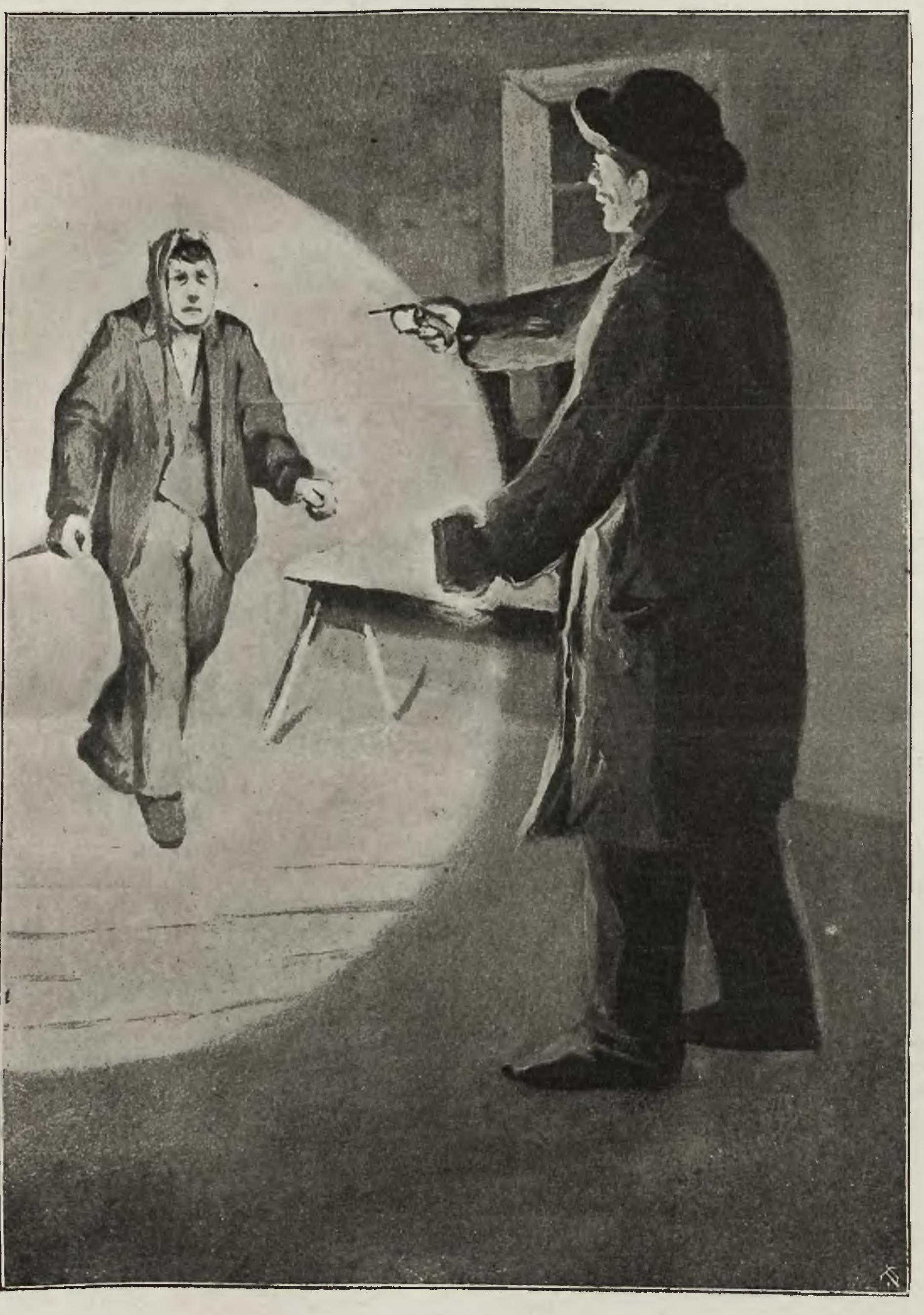
— Przepraszam, jeśli panu przeszkadzam — brzmiała spokojna odpowiedź. — Powiedziano mi na dole, że udzielasz pan lekcyi muzyki i chciałbym w tym kierunku zadać panu kilka pytań!

Książę zastanawiał się chwilkę, następnie otworzył drzwi.

— Proszę pana — rzekł — chociaż sądzę, że nie będę mógł odpowiedzieć pańskim życzeniom, bo nie udzielam już więcej lekcyi.

Elegancko ubrany gość nie rzekł ni słowa, lecz przeszedł ciemnym przedpokojem do pokoju, który książę przed nim otworzył.

Szybki rzut oka wystarczył, by zbadać urządzenie pokoju i odkryć siwą perukę, leżącą na stoliku obok niebieskich okularów.



W tejże chwili błysło światło ślepej latarki i biały, niezwykle silny promień padł na Lisa.

Książę wskazał ręką krzesło.

— Jeżeli mogę prosić... — powiedział.

Równocześnie przypomniał sobie, że odłożył przebranie i straszna trwoga odbiła się na jego obliczu. Było już zapóźno, by naprawić zapomnienie. Lecz i druga okoliczność zaniepokoiła go jeszcze bardziej. Młody człowiek, siedzący przed nim, był tym samym dandysem, którego widział dzisiaj w kawiarni.

Z dziwnym uśmiechem podszedł on ku księciu.

— Pozwoliłeś się pan podejść, książę de Bligny — rzekł zimno Paryżanin. — Obserwowałem pana już od wczoraj popołudniu w kawiarni i przyszedłem dzisiaj do przekonania, że moje podejrzenie było zupełnie uzasadnione.

Stary muzyk, Henryk de la Croix, umiał doskonale odegrać swą rolę, lecz zdarzają się chwile, w których się zdradzamy. I tak wystarczyło mi to krótkotrwałe przerażenie z pańskiej strony, gdyś pan czytał paryskie „Figaro“, aby skonstatować, że właśnie doniesienia paryskiej policyi tak pana przeraziły. Reszta była tylko drobnostką. Pozwoli pan, że mu się przedstawię jako tajny detektyw.

Książę zdrętwiał formalnie. Szeroko otwartemi oczyma patrzył na mówiącego, który utkwił w nim swe siwe, przenikliwe oczy.

Oblicze rzekomego eleganta paryskiego było teraz całkiem poważne.

— Pan miałby być — jąkał książę, podczas, gdy mu w głowie kotłowało.

— Bernard, paryski urzędnik bezpieczeństwa publicznego, książę, zwany „Szklanym oczkiem“! Miałem już raz szczęście spotkać się z panem i to niedawno temu. Przypomina sobie pan zapewne swój nocny pobyt w pańskiej willi wtedy, gdy cały Paryż uważał pana za umarłego!

Książę opadł na stołek i rzekł głucho:

— Nie mogę temu zaprzeczyć, że jestem rzeczywiście księciem de Bligny. Tylko, proszę, być przekonanym, że nie jestem winien tego, o co mię pan posądza, chociaż okoliczności świadczą przeciwko mnie! Względem pana tylko zawiniłem i to jest jedyna moja wina; mam na myśli ów strzał, którym przeciwko panu skierował. Dokonałem tego w największem rozdrażnieniu, bo wtedy widziałem, że ktoś wyłamał moje biurko i wykradał z niego moje dokumenta! Sądzę, że miałem nawet pewne prawo, złodzieja, którego w panu widziałem, bronią uczynić nieszkodliwym!

Bernard odpowiedział z milutkim uśmiechem:

— Ja sam, książę, nie biorę panu tego strzału za złe i jeżeli się panu uda odeprzeć inne zarzuty, przeciw niemu skierowane, to tego nie powinieneś się zupełnie obawiać. Przypadek zrządził, że strzał chybił i masz pan zupełną racyę, że mógł to być i złodziej, który skorzystał z nieobecności księcia de Bligny, aby zapoznać się z jego biurkiem! Czy mogę teraz prosić o jedną rzecz, książę?

— Proszę mówić — brzmiała odpowiedź śmiertelnie bladego księcia.

— Chciałbym pana prosić, abyś pan zechciał natychmiast wrócić do Paryża! Wiesz pan przecież, że wszelki opór byłby bezskuteczny, bo marsylska policya pospieszyłaby mi natychmiast z pomocą! Chciałbym jednak, o ile możności, uniknąć wszelkiego niepotrzebnego rozgłosu i dlatego radziłbym panu natychmiast wsiąść ze mną do powozu i udać się najbliższym pociągiem do Paryża!

Książę zbladł jeszcze bardziej, bo spokojne słowa detektywa zawierały w sobie jego uwięzienie.

— Chcesz mię pan uwięzić! Dlaczego nie powiesz pan tego wprost?

— Nie jestem tak niegrzecznym, abym się sprzeciwił. Nie jest to w mej mocy odwrócić od puna nieszczęście, które pana spotkało! Proszę mi tylko powiedzieć, czy jesteś pan gotów odbyć ze mną podróż do Paryża?

— Jestem zdecydowany! Chciałbym tylko uzupełnić ubranie. Nie potrzebujesz się pan niczego obawiać, najmniej zaś tego, że mógłbym sobie odebrać życie. Uważam samobójstwo za tchórzostwo, a tchórzem być nie chcę.

Bernard zgodził się, a książę udał się do bocznego pokoju, od którego drzwi zostawił otwarte!

Po niespełna pięciu minutach, powrócił książę i rzekł:

— Jestem gotów! Chciałbym jeszcze zostawić na dole krótki liścik i czynsz za mieszkanie. Pozwoli pan na to przecież!

Bernard znowu przytaknął i wyszli obaj do sieni, a książę zamknął drzwi wchodowe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zamordowanie syonistycznego redaktora.

Życie ludzkie podobne jest do wątłej nici pajęczyny. Niech tylko dmuchnie silniejszy wiatr, a nić pęka — życie ulatuje. Zawsze nad nami wisi fatalizm, nie jesteśmy nigdy pewni, czy wychodząc np. na ulicę, powrócimy do domu zdrowi i cali. Jaskrawy przykład tego, że życie wisi na włosku, mieliśmy niedawno przykład w Szydłowcach, wsi w powiecie husiatyńskim.

W ubiegłym tygodniu znalazł tam żandarm na austryackim brzegu Zbrucza, zwłoki zamordowanego izraelity. Na ciele jego znaleziono kilkanaście kłutych ran. Po odbytej sekcyi, agent policyjny Paszkudzki zdołał stwierdzić, iż był to niejaki Pinkas Hornsztein, rzekomo redaktor jakiegoś syonistycznego pisma z Odessy.

Wracał on własnie z Bazylei, z kongresu syonistów, zabawił krótki czas w Kopyczyńcach, a przybywszy do wsi Szydłowce, wszedł w porozumienie z pewnym tamtejszym izraelitą, aby go przeprawił przez Zbrucz do Rosyi. Żyd ten porozumiał się w tym względzie z rosyjskim żołnierzem granicznym, który też odłożywszy karabin, przeniósł Hornsteina na własnych barkach w bród przez Zbrucz, jak również jego kuferek z rzeczami. Hornstein znalazłszy się już w Rosyi, wsiadł na najętą furę, a gdy wjechał w las, został przez woźnicę i innego rosyjskiego żołnierza zamordowany. Jak słychać, obaj wspomniani żołnierze rosyjscy, zostali już przyaresztowani.

Pewien izraelita husiatyński otrzymał list od żony zamordowanego, która zaniepokojona, iż mąż nie wraca, dowiaduje się o jego losie, nie przeczuwając zapewne jeszcze, jak straszna odpowiedź ją oczekuje.

Illustracya nasza przedstawia sekcyę sądowo-lekarską na trupie Hornsteina.

Z mętów wielkomiejskich.

Wielkie miasta to, dzisiaj przeważnie, siedziba wyrafinowanej rozpusty. Obyczaje w wielkich miastach są tak skażone, moralność tak dalece upadła, że jeśli nawet jakiś większy skandal wyjdzie na jaw, to nie wywołuje już takiego oburzenia, jakby powinien. Fakt jednak, jaki w ubiegłym tygodniu zdarzył się we Lwowie, należy już do rzędu takich skandali, że poruszył nietylko Lwów, ale i całą Galicyę.

Zacznijmy od początku.

Od lat 8 mieszkała przy ul. Ormiańskiej pod l. 17 we Lwowie, niejaka Julia S., wdowa po inspektorze, lat 57 licząca, o dystyngowanym wyglądzie i obejściu.

Zajmowała ona na I. piętrze skromne co do rozmiarów, bo tylko z frontowego pokoju i kuchni złożone mieszkanie, ale za to bardzo elegancko urządzone. Żyła cicho i skromnie, a tylko jedno dziwiło początkowo mieszkańców jej kamienicy: oto wielka ilość młodych, ładnych dziewcząt i kobiet, które odwiedzały panią inspektorową. Ale wdowa tłómaczyła się z tych wizyt w ten sposób, że dla pomożenia sobie stołuje u siebie parę znajomych osób. Tłómaczenie było tak wiarygodne, że od tego czasu przestano zwracać uwagę na odwiedzające panią S. dziewczęta.



Lwowski instytut muzyczny: Pani Niementowska.
(Treść na str. 8).

Mimo tak skromnego i odosobnionego na pozór życia, p. S. w pewnych sferach była bardzo chętnie widzianą osobistością. Przedewszystkiem bony i guwernantki bez zajęcia, lepszego typu pokojówki a wreszcie mężatki, żyjące w skromnych warunkach, a tęskniące do strojów i zbytków, znały nazwisko p. S. i były częstymi gośćmi w jej domu. Która z nich potrzebowała pieniędzy, a była młoda i ładna, ta mogła śmiało liczyć na pomoc pani S.

Pomocy zaś dla swych klientek szukała p. S. w zupełnie innej sferze towarzyskiej, a mianowicie wśród złotej, bogatej młodzieży, wśród lowelasów i wogóle ludzi, chcących się dobrze bawić, a mających po temu odpowiednie środki. Do nich to, do ich prywatnych mieszkań posyłała p. S. swe klientki po pieniądze. W zamian zaś, zostawiały tam one swój honor, swoją uczciwość i dobre imię.

Tego rodzaju stosunki wdowy po inspektorze były bardzo rozgałęzione i z miesiąca na miesiąc coraz bardziej się rozszerzały. Niebawem pani S. stała się w tych obu sferach głośną i popularną postacią i p średniczką, tak głośną nawet, że wieść o niej doszła do policyi.

Od tego czasu dom jej był pilnie strzeżony. Trudno było jednak o dowody jej winy, bo na schadzki pań i panów w swem mieszkaniu nie zezwalała, pośrednicząc tylko w schadzkach, t. j. wysyłając zwracające się do niej dziewczęta pod wskazanymi adresami.

Ale niebawem i na podstawie takich danych policya uzbierała tyle dowodów jej winy, że w ubiegłym tygodniu aresztowała wdowę. Śledztwo w tej skandalicznej sprawie prowadzi komisarz Stankiewicz. Przedsiewzięta w mieszkaniu pani S. rewizya wykazała, że sprytna wdowa prowadziła obszerną korespondencyę z nafciarzami z Borysławia, którzy przed przyjazdem do Lwowa zwracali się do niej listownie z prośbą, aby na tę a na tę godzinę „coś ładnego im przygotowała“. Wmięszanych w to jest i kilka mężatek z lepszych domów.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię domu, w którym mieszkała pani S. Pokój, przez nią zajmowany, oznaczony jest na naszej fotografii gwiazdką.



Fot. M. Münz. Lwów.

Z mętów wielkomiejskich: Kamienica przy ul. Ormiańskiej l. 17 we Lwowie. Pokój, zajmowany przez aresztowaną już panię S., oznaczony jest gwiazdką.

Ze Skolszczyzny.

O trzy godziny oddalone od Lwowa — a jedną od Stryja — jest Skole i wszystkie miejscowości położone wzdłuż linii kolejowej Stryj-Ławoczne celem letników i turystów, dla bogactwa gór, lasów szpilkowych i wybornej kąpieli rzecznej. Klimat jest tu prawdziwie górski, choć łagodny, nawet dla najbardziej chorych wskazany. Samo Skole jest jedynem miastem w tym szeregu wiosek (Synowódzko, Korczyn, Hrebenów, Żetemianka, Huta, Stawsko, Tuchla i t. d.) a miastem jest ono dopiero od lat kilkunastu t. j. od czasu, kiedy na czele zwierzchności gminnej stanął doskonały lekarz i zawołany gospodarz dr. Mironowicz, któremu Skole zawdzięcza wszystko. On to stara się

o ciągłe ulepszenia i postawienie miasta w szeregu uzdrowisk krajowych.

Niedawno zawiązał się w Skolem „Sobór“. Towarzystwo to młode, ale dzisiaj już silne i w życiu towarzyskiem odgrywające wielką rolę. Onegdaj odbył się jego staraniem urządzony festyn, który udał się pod każdym względem świetnie.

Illustracya nasza przedstawia grupę członków Sokoła, zebranych na festynie.

Dom Sobieskiego we Lwowie.

Jest to rzeczą nader znamienną a nadzwyczaj powszechną, że pamiątkowe rzeczy sprawiają nam wielką przyjemność. Drobnostka na pozór wystarczy, by z pośród tysiąca najrozmaitszych wrażeń, jakie przeszły przez naszą duszę, zostawiając w niej niewidome ślady, by z pośród całego grona tych mniej lub więcej przyjemnych czy przykrych wspomnień wywołać jedno, jakie wiąże się ściśle z danym przedmiotem. Łatwem więc do zrozumienia, dlaczego powstają osobne zakłady, mające na celu zbierać rzeczy pamiątkowe. Zakłady te nie szczędzą kosztów, gdy tylko dostaną w swe ręce jakiś przedmiot historyczny.

Gmina miasta Lwowa traktuje właśnie o kupno domu Sobieskiego. Właściciele ks. Lubomirscy ofiarują go za nizką stosunkowo cenę 130.000 koron. Rada miejska postanawia dom cały odnowić, parterowe sklepy pousuwać, odrestaurować ze szczególniejszym nakładem historyczne komnaty, oficynę zaś i drugie piętro wynająć, by uzyskać dochód potrzebny do oprocentowania sumy 130.000 koron na 4 proc. Odsetki te opłacała będzie gmina własnemu funduszowi dochodów niestałych, z którego zaczerpnie kwotę potrzebną na zakupno domu. W pozostałych ubikacyach zamieszka prezydent miasta.

Załączona illustracya przedstawia historyczny dom od ulicy.

Każdy naród, każde miasto posiada drogocenne pamiątki, rzeczy, których wartość nie da się wprost ocenić, gdyż wiążąc się ściśle z historyą danego kraju, czy poszczególnego miasta, przedstawiają dla niego nieocenione skarby. Z tych pamiątek czytać można krwawe dzieje narodu, są one żywym elementarzem, który nas poucza jak kochać ojczyznę.



Dom Sobieskiego we Lwowie: Dom, w którym mieszkał król Jan III. Fot. M. Münz. Lwow.



Ze Skolszczyzny: Członkowie Sokoła, zebrani na pierwszym, przez Sokół urządzonym, festynie w Skolem.

KRONIKA LWOWSKA.

(Sprawa pani S. — Instytut przy ul. Ormiańskiej l. 17. — Fryne i Astarte. — Warunkowa moralność. — W kurytarzu policyi. — Defraudacye podatkowe i zaufanie do władz skarbowych. — Nasza agitacya. — Mięso końskie i króliczne. — Do czego dojdziemy. — Lekceważenie bytu zwięrząt. — Psia licytacya. — Przewidywanie magistratu. — Policyant członkiem honorowym fachu złodziejskiego. — Wielki zjazd pokanikularny. — Wystawy kupców — Panie opowiadają. — Stosunek w pewnem miejscu. — Oświadczyny na reunionie. — Nagła choroba. — Wyjazd chorego. — List ze Lwowa. — O czem myśleli w wagonie. — Operetka i opera).

Najnowszą i ostatnią sensacyą Lwowa jest obecnie aresztowanie pani S. wdowy po urzędniku magistratu, która od dłuższego czasu dla rozpędzenia nudów wdowieństwa i dla pomnożenia dochodów utrzymywała agencyę wolnej miłości przy ul. Ormiańskiej l. 17. Nie pierwsza... i nie ostatnia. Rynek l. 34 dał początek sensacyom tego rodzaju. Dużo wtedy mówiono i pisano a pani S. wszystko to czytała i robiła swoje, ale o wiele ogl ędniej, delikatniej. Jej agencya, to biuro a nie hotel. Ona tylko pośredniczyła... Piękne złotowłose i czarnobrewe klientki porozumiewały się z agencyą przeważnie listownie, rzadziej ustnie u siebie w domu. A były to damy całą gębą, te z wierzchu, z górnych dziesięciu tysięcy, jednem słowem: lepsze. Ci, bez których niema miłości, choć należą do płci brzydkiej, odwiedzali panią S. w domu, przeglądali albumy i korespondencyę, przedstawiali życzenia, robili zamówienia, omawiali bliższe warunki... I szło wszystko, jak po maśle... Bańki mydlane niewieściej cnoty pryskały w ogniu połyskującego złota, mężom i narzeczonym rosły szybko rogi, Fryne i Astarte rozsiadły się wygodnie u nowego ołtarza przy ul. Ormiańskiej l. 17 i rozpustnie uśmiechnięte święciły tryumfy, kąpiąc się w złocie... Lecz klientki nie znały się wzajemnie, nie spotykały się nigdy, nic o sobie nie wiedziały, dzięki czemu nie zdarzyło się ani razu — jak to bywa gdzieindziej — ażeby pani spotkała się z własną pokojówką. U solidnej firmy można być pewnym dyskrecyi. Tak samo w *etablissement* pani S.

Tego rodzaju interes wymaga nawet większej dyskrecyi, aniżeli inny np. bank. Niedyskrecya bowiem mogłaby narazić na szwank najcenniejszy przymiot klientek tej instytucyi a mianowicie: „moralność... A „moralna“ kobieta nie uczyni nic, coby mogło jej dobre imię poniżyć w opinii ludzi a więc musi mieć wprzód zapewnioną dyskrecyę, jeśli ma np. wejść w kontakt z pensyonatem przebiegłej pani S. przy ulicy Ormiańskiej 17. Takich moralnych kobiet miała pani S. bardzo wiele... Były tam i panny z „lepszych“ domów, były mężatki, żony poważanych mężów, były i dzieci niewinne... A wszystko moralne, wszystko dobrze wychowane, rumieniące się na lada dwuznacznik... Szło gładko...

Tymczasem wmieszała się w ten cały interes policya. Nasza policya jest — jak wiadomo — konserwatywną i nieprzychylnie usposobioną dla wszelkiego postępu. Daremnem było tłómaczyć naszej policyi, że instytut pani S. urządzony jest na wzór tego rodzaju agencyj paryskich i londyńskich i że jako taki świadczy o postępie Lwowa, który przynajmniej pod tym względem zaczyna przybierać cechy wielkiego miasta. Policya aresztowała panią S. a nawet skonfiskowała jej korespondencyę prywatną mocno kompromitującą wiele porządnych, moralnych, poważanych i szanujących się dam z tutejszego towarzystwa. Komisarz Stankiewicz, człek z natury ciekawy, wypytuje klientki agencyi miłości o najdrobniejsze szczegóły, a one rumieniąc się opowiadają... Czy wszystko? Prawie...

Teraz dopiero spotykają się wszystkie razem w kurytarzu policyi, teraz spotyka się pani z własną pokojówką. albo przyjaciółka z przyjaciółką, albo córka szefa z żoną podwładnego urzędnika, albo dawne szkolne koleżanki, które już zapomniały o sobie... Góra z górą się nie zejdzie, ale dwie koleżanki czasem. i to gdzie...

A winna temu policya, która co prawda prowadzi śledztwo w najściślejszej dyskrecyi w interesie rodzin... Na szczęście... Zainteresowanie w mieście ogromne. Mężowie odruchowo, mimowolnie macają się po łysinach szukając rogów, ojcowie zaglądają córkom badawczo w oczęta, jakaś nieufność ogarnia wszystkich... Tak lepiej...

O wiele lepiej byłoby, gdyby i nasze władze skarbowe ogarnęła większa nieufność do swoich organów podwładnych. Taki szef skarbowy więcej ufa egzekutorowi podatkowemu, aniżeli najlojalniejszemu podatnikowi. Kto wie, ile w tej chwili pieniędzy brakuje w naszych kasach podatkowych a dowiemy się o tem po latach. Defraudacye Dudzińskiego, dokonywane systematycznie przez cały szereg lat, budzą niewątpliwie wiele zaufania do naszych władz skarbowych. A ten sam Dudziński z bezwzględnością opryszka ściągał z nędzarza ostatni surdut za podatki, czasem nawet jeszcze przed terminem płatności... Dlatego władze skarbowe cieszą się wielkim a zasłużonym mirem wśród najszerszych warstw a ludn ść zwraca się do nich z ufnością w słusznem przekonaniu, że władze skarbowe pamiętają dobrze o każdym jej cencie ostatnim.

Z jakiem zaś zaufaniem i miłością zwracamy się do naszej magistratury gminnej świadczy ostatnia gorąca agitacya za wprowadzeniem w handel końskiego i króliczego mięsa. Ażeby magistratowi nie robić kłopotu z wyszukiwaniem środków zaradczych mających zapobiedz drożyźnie, ażeby prezydenta nie zmuszać do dotrzymania danego przyrzeczenia, agitujemy teraz całą forsą za rozpowszechnieniem mięsa z królików i koni.

Wszystko to chętnie jeść będziemy, byleby nie sprawiać kłopotu magistratowi i p. Michalskiemu. Co prawda nie łatwo to może pójdzie, bo na samą myśl o końskiej pieczeni aż ciarki przechodzą lwowskiego gastronoma, ale czegoby człowiek nie zrobił dla ojczyzny? Jest zresztą poważna nadzieja, że za lat kilka podrożeje mięso z królików i koni, ankieta drożyźniana znów powstanie i zaśnie a my agitować będziemy za wprowadzeniem mięsa z kotów, psów, myszy i szczurów, byleby panu Michalskiemu ułatwić trudne zadanie prezydowania miastu.

Rzeźnicy lwowscy przysłuchują się agitacyi króliczo-końskiej i pękają ze śmiechu Wszak oni bez agitacyi, ale owszem całkiem cicho wprowadzili w handel i to lwowianom smakuje doskonale. A p. Michalski powiada sobie zapewne, że niema to, jak być prezydentem Lwowa.

Zanim jednak przyzwyczaimy się do spożywania mięsa ze wszystkich bez wyjątku zwierząt domowych nie znamy jeszcze wartości tych stworzeń i lekceważymy sobie ich byt. Magistrat pobiera — jak wiadomo — podatek od psów. Właściciele psów — jak wiadomo — niechętnie ten podatek opłacają. Magistrat — jak wiadomo — jest w ściąganiu tego podatku tak niedołężnym, że ani połowa psów nie opłaca podatku. Polecono tedy rakarzowi miejskiemu wyłapać wszystkie nieopodatkowane psy i sprzedać je w drodze licytacyi.

Kilkadziesiąt dezerterów podatkowych psiego rodu poszło na bęben a magistrat uzyskał z tej licytacyi ładną sumkę. Zastanawiają się obecnie w magistracie lwowskim nad tem, czy nie dałoby się tak urządzić z podatnikami nie chcącymi opłacać podatków gminnych. Pytanie tylko, czy znajdzie się na nich kupiec. Temat do rozstrzęsania dla galicyjskich myślicieli... Znamiennym jednak objawem jest, że magistrat lwowski polecił psy zachować i sprzedać a nie zabijać. Uczynił to w proroczem przewidywaniu, że wkrótce zajdzie potrzeba wprowadzenia w handel psiego mięsa... Obywatele, szanujcie psy wasze...

Sensacyą było także aresztowanie... policyanta złodzieja. Lwowscy złodzieje nie posiadają się z radości. Kolegi z półksiężycem dotąd nie mieli. Po wypuszczeniu policyanta z kryminału mają go lwowscy złodzieje zamianować członkiem honorowym swego cechu i urządzić z tej okazyi bankiet. Na razie siedzi...

Tymczasem kanikuła ustąpiła nareszcie kompletnie. Letnicy obładowani tobołami wracają z dworca, jak na jakiś wielki zjazd, umundurowani studenci rozsypali się po całem mieście, kupcy wystawili sezonowe nowości zeszłoroczne, w kawiarniach, restauracyach i mleczarniach zaroiło się, słomiani wdowcy powoli przyzwyczajają się do życia rodzinnego. Nasze piękne panie mają dużo, dużo do opowiadania...

Ale bo też nie próżnowało się na świeżem powietrzu...

Jeden z tutejszych lowelasów nawiązał w pewnem miejscu kąpielowem w zachodniej Galicyi bliższą znajomość z niebardzo zamożną, ale bardzo dystyngowaną rodziną z Królestwa. Zwłaszcza córeczka owej rodziny, piękna panna Hala ogromnie przypadła do gustu lwowskiemu lowelasowi. Ale i młoda panienka o ognistym temperamencie węgierki nie została obojętną. I owszem... Dawała mu nawet niejednokrotnie do zrozumienia, że i ona i rodzice nie mieliby nic przeciw temu, gdyby on tak próbował rozpocząć kampanię o drobniutką rączkę Hali. Gdy i rodzice raz przy kolacyi dali mu tosamo do zrozumienia — zrozumiał... Ale zwlekał. Było to na samym początku pobytu. Częste wycieczki i reuniony, festyny i spacery zacieśniły tak mocno węzeł, że elegancki pan komisarz raz w tańcu podczas sobotniego reunionu szepnął Halusi do różowego uszka:

— O, tańcz ze mną do końca życia...

Nic przytem złego nie myślał... Inaczej to jednak zrozumiała prześliczna Hala. Zaraz zakomunikowała rodzicom, że komisarz właśnie oświadczył się. Podczas pauzy całe towarzystwo przechadzało się w werandzie a rodzice Hali wzięli p. komisarza pomiędzy siebie i bez ogródek i płytkich sentymentów powiedzieli mu, że wiedzą już o wszystkiem i cieszą się z tego bardzo, przyczem odrazu udzielili mu błogosławieństwa. Pan komisarz był trochę zmieszany, podobno ze wzruszenia, ale kordyalnie ucałował ręce matce i ojcu. W jednej chwili gruchnęła wieść po całej sali i wszystko składało gorące życzenia i gratulacye wracającemu z werandy towarzystwu. Jakaś ogromna radość biła z twarzy członków całej rodziny a tylko p. komisarz był nieco wzruszony, czy nawet zakłopotany. Tańczono jeszcze długo, a starzy omówili już nawet bliższe szczegóły zrękowin i ślubu. W całej sali mówiono o szczęściu.

Nazajutrz p. komisarz zachorował obłożnie, choć dość lekko a panna Hala z rodzicami zjawili się u łoża chorego narzeczonego. Posłano po lekarza, który skonstatował zapalenie opon mózgowych, drugi lekarz przyjął tyfus brzuszny, trzeci udowadniał jak na dłoni, że to tyfus plamisty a na wspólnem konsylium uchwalono leczyć go na katar żołądka, aż choroba nie wykaże wyraźnych znamion. Gdy następnego dnia rano zjawili się znów rodzice z panną Halą w pokoju ciężko chorego, pacyenta już nie było. Proszę się nie przerażać... nie umarł... Wyjechał nagle... Naturalnie, że i lekarze go nie zastali. Ot, zagadka. wracają więc strapieni rodzice do domu i znajdują list, który dopiero co doręczył listonosz. List ze Lwowa. Kobiecy charakter pisma... Rozdarto kopertę i trzy głowy — jedna młoda i dwie stare — pochyliły się nad papierem. Czytają... „Szanowny Panie! Dowiaduję się w tej chwili z listu mojej przyjaciółki, że zaręczyliście państwo córeczkę z moim — mężem, panem X. Y. ajentem asekuracyjnym ze Lwowa“... Dalej już nie czytały panie. Stary sam doczytał do końca, ale nic więcej tego dnia nie mówiono. Następnego dnia wyjechała cała rodzina. W wagonie kolejowym jeszcze ciągle milczeli przeżuwając wrażenia, ale myśleli. Stary dał słowo, że do Galicyi z córką więcej nie pojedzie „póki życia mego“, stara żałowała, że nie mogła bodaj przez kilka dni być teściową pana komisarza a córka... Panna Hala robiła w myśli bilans... całusów. Bilans był wcale korzystny... Otrzymała więcej... a bądź co bądź był to przystojny chłopiec...

Milczą o tem kroniki, jak się zakończyła ta historya dla niefortunnego komisarza.

Razem z nowym sezonem wróciła do nas rozśpiewana operetka i rozwarły się bramy teatru przed wielkim sezonem operowym, o którym się już tyle słyszało. Cały szereg nowych śpiewaczek i śpiewaków zaangażowała dyrekcya na nowy sezon i ogłoszono bardzo interesujący repertuar operowy.

Natomiast o dramacie nic nie słychać a zdaje się, że dramat pójdzie w odstawkę, ażeby się przypomnieć na lato. Amatorowie muzyki zacierają ręce, zwolennicy dramatu mają kwaśne miny. *Kl.*

Kącik humorystyczny.

Przyjacielska usługa.

— Fifinka dziś bez matki?
— Pożyczyłam ją koleżance Lulusi!

Nasi żebracy.

— Czy wam nie wstyd! Taki zdrowy, silny chłop prosi o wsparcie.

— Niech to raczej gospodarz się wstydzi tu ze mną w taką rozmowę długą się wdać! Proszę nieco dać i pójść swoją drogą i nie przeszkadzać mi w jenteresie!

W kantorze sług.

Doktor: Poszukuję dobrej mamki.
Pisarz: Dla kogo, jeżeli wolno zapytać?
— Tym razem dla siebie!

Uprzejmy.

Służąca: A do kogo młody pan sobie życzy?
Student: Ja? Do nikogo? Ale że tu napisane: „uprasza się mocno zadzwonić“, więc taką drobną grzeczność mogłem pannie wyświadczyć.

Wygadał się.

— Czy pan wcale nie palisz?
— Doktór mi zabronił.
— Czemu?
— Bo się firanki tak smolą!

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Czy w Portsmouth nastąpi zawarcie pokoju, czy też odłożonem jeszcze zostanie, a przedłuży się nieco bezowocna, bo dla Rosyi beznadziejna wojna, podczas gdy Japonii nie może przynieść większych korzyści, jak te, których się teraz czuje uprawnioną żądać, w każdym jednak razie wielkie, epokowe zdarzenia azyatyckie wpłyną na małe lub znaczniejsze stosunki europejskie. Dotąd jednak nie odrysowują się wyraźnie możliwe w tej mierze zmiany, lecz czuć już teraz drgania, które je zapowiadają. Aby one miały być doniosłe i w skutki dla Europy brzemienne, rozstrzygające — nie można twierdzić, na to trzebaby bowiem przeistoczenia atmosfery politycznej, w której od szeregu lat żyje Europa, usunięcia zakorzenionych nawyknień i nowych, dziś nieistniejących polityków, posiadających rzadki a tak cenny dar zapoczątkowywania. Zmiany, czy to w przymierzach, czy to w ukształtowaniu się ich wzajemnem do siebie, pozostaną, zdaje się, w obecnych granicach i na utartym gościńcu pokoju europejskiego. Dlatego drgania w świecie politycznym i dyplomatycznym nie zdają się zapowiadać wielkich trzęsień i katastrof, a raczej atmosferyczne zjawiska.

Żeby nie wiedzieć jak zastanawiać się, kombinować i prorokować, to faktem pozostanie, że po pogromie Rosyi w Azyi i wskutek tego bezwartościowego przynajmniej na razie przymierza francusko-rosyjskiego, atmosfera europejska przeciążona jest wojskową przewagą Niemiec. Stąd wszystko do tego odnosić się musi.

Niemcy nie życzą sobie bynajmniej zawarcia pokoju. Owszem, one pragną dalszej wojny, wojny na śmierć i życie; zdaje się obecnie nie ulegać wątpliwości, że podczas zjazdu z carem w Björke cesarz Wilhelm musiał użyć całej potęgi swej — znanej już szeroko w świecie i podziwianej powszechnie — wymowy, aby cara nakłonić do dalszego prowadzenia. Ale wtedy Witte był już w Paryżu, w drodze do Ameryki, trudno więc było go odwoływać; wysłano go tedy dalej, z pełnomocnictwami nic prawie nie znaczącemi, a przynajmniej nie o tyle, że Witte miał z góry powiedziane, że, jeśli podczas rokowań Japonia upierać się będzie przy odszkodowaniu wojennem i odstąpieniu Sachalinu, rokowania należy zerwać. Car więc wysłał delegata pokojowego do Ameryki, ale sam, jak się zdaje, pragnął dalszej wojny, podniecany nietylko przez zaślepiałą w politycznym snobiźmie kamarylę dworską, ale i przez naczelnego dowódcę rosyjskich sił zbrojnych na Dalekim Wschodzie, generała Liniewicza, który przysyłał telegramy, donoszące o nadzwyczajnym zapale wojsk rosyjskich, o bliskich zwycięstwach, o niepohamowanej chęci wojsk rosyjskich pomszczenia poprzednich klęsk i t. d. i t. d.

Charakterystyczną dzisiaj jest rzeczą, w jaki sposob zapatrują się na rokowania pokojowe dzienniki różnych nacyi, jakie stanowisko zajmuje wobec rokowań prasa. Widać to zaraz, jeśli się przesyła sprawozdania; już w tonie, w jakim te sprawozdania są pisane, można wyczuć zapatrywania.

Najbardziej mętne i najbardziej nieprawdopodobne i pesymistyczne sprawozdania z obrad konferencyi pokojowej zamieszcza prasa niemiecka. Widać stąd, że Niemcy, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, bynajmniej sobie nie życzą pokoju; one pragną dalszej wojny, bo wojna ta, jeżeli się tylko przeciągnie, osłabi w straszny sposób obie strony i osłabiona już Rosyę i dzisiaj jeszcze silną wprawdzie Japonię. A Niemcom w to graj! Osłabienie



Z wojny ros.-jap.: Chunchuzi, zabierający do niewoli złapanego w drodze kupca rosyjskiego.



Z wojny ros.-jap.: Przygotowanie do obrony portu we Władywostoku na wypadek oblężenia miasta.



Z wojny ros.-jap.: Oficerowie japońscy w teatrze chińskim w Mukdenie.

Japonii, osłabienie Rosyi zapewnia im nietylko posiadanie bezpieczne swojej kolonii na wybrzeżach Azyi wschodniej Kiauczau, lecz i dalszą możność rozszerzania swych zdobyczy w Chinach.

Dalej, wojna ponownie podjęta w Azyi Wschodniej wiąże znowu na czas dłuższy ręce Rosyi w Europie. A właśnie takiego unieruchomienia Niemcy potrzebują, by odnieść tryumf na Zachodzie. Chcą zgnieść Francyę w tym czasie, kiedy Rosya będzie zajęta na Wschodzie. By dopiąć celu, muszą mieć rok czasu. Przez rok jeden chcieliby jeszcze przedłużyć ową wojnę.

Opinia polityczna francuska zdaje sobie sprawę z owych zamiarów Niemiec. Francuzi życzą też sobie zawarcia pokoju. Ich prasa nie mąci wody i zapatruje się na rokowania w Portsmouth z wiarą w ich powodzenie.

Równocześnie kierujący politycy francuscy z większą niż poprzednio miłością przemawiają o armii. Prezydent Loubet w Valence sur Rhone z zapałem wielbi armię francuską jako puklerz i nadzieję ojczyzny.

Czy rachuby niemieckie się spełnią? Czy zamierzonym zabiegom niemieckim uda się rozdwoić ponownie Rosyę i Japonię, nie dopuścić do zawarcia pokoju, doprowadzić do dalszego przelewu krwi?

Trudno przewidzieć. Ale warto przypomnieć, iż po zjeździe w Bjorkë dzienniki niemieckie przez 48 godzin głosiły: cesarz Wilhelm radził, by Rosya dalej prowadziła wojnę.

Czy ten szczegół nie powinien dać dużo do myślenia owym publicystom rosyjskim, którzy także przemawiają za dalszą wojną?

Czyż nie powinni sobie przypomnieć zasady pruskich mężów stanu: politykę Prusy prowadzą wyłącznie z punktu widzenia własnych potrzeb, a nawet politykę państw obcych naginają do potrzeb pruskich.

Jeżeli Prusy życzą sobie dalszej wojny na Dalekim Wschodzie, to z uwagi na własny pożytek. Kto tego nie rozumie, ten jest krótkowidzem i nie umie się widocznie oryentować w trochę zawilszej sytuacyi. Źle ukrywana radość pruska na myśl, iż konferencye w Portsmouth mogą się skończyć na niczem, ta radość winna służyć Rosyi za przestrogę.

Prasa amerykańska w ostatnich dniach przechyliła się w sympatyach ku Rosyanom. Dziwna rzecz — powie niejeden, prasa w kraju wolności staje po stronie państwa knuta i czynownictwa. Cóż było tego przyczyną?

Rzecz na pozór drobna, ale w gruncie rzeczy ogromnie ważna. Otóż dziennikarze amerykańscy są obrażeni na Japończyków. Ludzie tak postępowi, tak szczerze przejęci kulturą nowoczesną, mimo to, nie chcą nigdy myśleć o wygodzie prasy!

Jak to można staczać bitwy, nie opowiedziawszy się poprzednio sprawozdawcom dziennikarskim! Chowanie wszystkiego w tajemnicy i surowe cenzurowanie depesz, dało się porządnie we znaki sprawozdawcom wojennym, którzy bywali w obo-



Z wojny ros.-jap.: Chunchuzi, atakujący stacyę na kolei transsyberyjskiej.

zie Japońskim. Pewnego dnia ci korespondenci, którzy siedzieli w Tokjo, zrobili oryginalne bezrobocie i postanowili nie telegrafować o Japonii ani słówka. Nawet ta gr źba nie przeraziła jenerałów i urzędników Japońskich.

Teraz, w Portsmouth, powtarza się to samo. Dyplomaci japońscy mają usta poprostu zamurowane. Nic z nich nie można wydostać. I to w ojczyźnie najbardziej śmiałych, najbardziej pomysłowych reporterów! Wszystkie sztuczki i manewry, w innych wypadkach niezawodne, rozbijają się niby woda o piersi skały granitowej.

Japończycy stracili łaski prasy amerykańskiej. Płata im ona rozmaite figle. Puszcza w świat relacye o przebiegu narad—zabarwione co najmniej sepią. Czasem nawet tuszem chińskim! Boć zerwanie obrad nie jest pożądanem dla Japonii.

Dalej prasa amerykańska rozpuszcza wiadomości, że rokowania – pomijając ich rezultat ostateczny — same w sobie natrafiają na liczne rafy podwodne. Tutaj publicyści amerykańscy spekulują poprostu na małą znajomość historyi europejskiej wśród swoich czytelników. Toć obrady w Portsmouth toczą się niby pociąg pośpieszny w porównaniu np. z nieładami w Monastyrze, znanymi pod mianem „Pokoju Westfalskiego“ (1648).

Rokowania rozpoczęto jeszcze pod koniec 1641 roku. Potem je na czas pewien przerwano i znowu rozpoczęto w 1644 roku. Spory co do etykiety ciągnęły się latami całemi.

Tymczasem wojna trwa dalej, staczano duże bitwy i zdobywano miasta. Do podpisania pokoju doszło dopiero 24 października 1648 roku.

Kongres Wiedeński trwał już krócej, ale w każdym razie dosyć długo. Od września 1814 roku do czerwca 1815 roku. Akt końcowy podpisano 9 czerwca 1815 roku.

Układy w Frankfurcie nad Menem zaczęto jeszcze w kwietniu 1871 roku. Pierwsze posiedzenie urzędowe odbyło się przecież dopiero 6 maja. Już dnia 10 maja podpisano traktat. Ale też klęski Francyi były ciężkie.

Co się jednak stanie w Portsmouth, czy tam już pokój zostanie zawarty, czy nie, dziś o tem jeszcze nic powiedzieć nie możemy.

Do charakterystyki stosunków, panujących w Rosyi, a wywołanych wojną, mogę posłużyć dwa następujące wesołe fakty, opisane przez jednego z korespondentów lwowskich pism w Petersburgu.

Korespondent ów pisze:



Z wojny ros.-jap.: Japończycy, przeszukując zdobycze swoje, znajdują jeden wóz pełen szampana.

„Kramolników“, czyli ludzi, robiących bunt, łowię na wszystkie strony. W jednym z powiatów głębokiej Rosyi uriadnik pojmał najgłówniejszego kramolnika, podejrzanego o to, że jest to — sam cesarz japoński, m i k a d o. O ile można wyrozumieć, pobejrzenie powstało stąd, iż aresztowany, mając wygląd męski, ubierał się jak kobieta.

„Cesarza-mikadę“ zaczęto rewidować. Pokazało się, że jest to — kobieta. Przenikliwy uriadnik zawyrokował:

— A więc to... cesarzowa japońska!

„Japońską cesarzowę“ wzięto do kozy. Tutaj pokazało się, że to dziewica rosyjska, a nie japońska i nigdy w życiu swojem zamąż za japońskiego „mikadę“ nie wychodziła.

Uriadnik rozgniewał się i puścił w ruch kułaki.

— Za co bijesz? — pytają go.

— A za to, że ma oszukańczy wygląd. Przez nią popełniłem haniebną omyłkę.

Obecnie na kolei władykaukazkiej żandarm Szłykow pojmał.. marszałka Ojamę. Stało się to dość niespodziewanie. Szłykow, celem utrzymania niczem niezakłóconego porządku, przechadzał się po peronie stacyi Kawkazkaja. Nagle spostrzegł, że do wagonu pcha się „podejrzany człowiek“, z wyglądu „bezwarunkowo Japończyk“. A nie taki sobie zwykły Japończyk, a bezwarunkowo „kramolnik i agitator“.

Szłykow — strach, jaki rozumny! Natychmiast pojął, o co rzecz chodzi:

— Ehe, to ten przeklęty Ojama przyjechał buntować naród!

Jedno skinienie ręką. Wagon otoczono natychmiast. Marszałka Ojamę wywleczono za kołnierz z wagonu i poddano badaniu.



Z wojny ros.-jap.: Odjazd rezerwistów japońskich na pole walki.



Z wojny ros.-jap.: Japońska siostra miłosierdzia.

— Opowiadaj, japońskie „wysokoprewoschiodtielstwo, po co przyjechałeś do nas?

— Jakie japońskie! Zmiłujcie się... Ja ślusarz...

— Już my znamy wasze ślusarskie rzemiosło... Dokąd jedziesz?

— Do Stawropola, na mieszkanie.

— Aha! Tutaj buntowałeś... Teraz w Stawropolu chce buntować. Ach, ty japońska „charo"!

Ślusarz napróżno dowodził, że nie jest Japończykiem, że nazywa się Jabłonowicz. Szłykow uparcie obstawa przy swojem.

„Marszałka Ojamę" odwiezio do w Stawropola. Wprost ze stacyi poszedł do kozy.

— Za co mnie więzicie? — pyta Jabłonowicz. Co ja wam zrobiłem?

— To jeszcze niewiadomo.. Poczekaj, dowiemy się o twojej winie, to ci powiemy.

Po upływie kilku godzin policyi stawropolskiej sprzykrzyła się ta komedya i ślusarza wypuszczono na wolność.

Ze świata.

Nieco o defraudacyach. — Łatwość defraudowania. — Dudziński w Zbarażu i jego 27-letnie defraudacye. — Galley w Paryżu. — Wyprawa do bieguna północnego. — Nowe posady dla kobiet.

Nie należy wcale dziwić się, że defraudacye nieustannie się powtarzają, że ledwie dostanie się do więzienia jeden amator cudzego grosza, już drugi idzie jego śladami — ale bądź co bądź zdumienie wywołuje fakt, że przeróżne sprzeniewierzenia dokonywane bywają z bajeczną wprost łatwością. Rozmaite instytucye finansowe i urzędy skarbowe mają często nadzór tak licho urządzony, że kasyer, czy buchalter, na widok takiego braku kontroli, uczuwać musi pociąg do defraudowania.

Oto naprzykład poborca urzędu podatkowego w Zbarażu, Franciszek Dudziński, popełniał w tamtejszym urzędzie przez 27 lat sprzeniewierzenia, które doszły do kwoty stu kilkudziesięciu tysięcy koron. W każdym urzędzie skarbowym odbywa się skontrum przynajmniej raz do roku — tak więc było, a przynajmniej być powinno w urzędzie podatkowym w Zbarażu, mimo to, Dudziński przez 27 lat uprawiał swoje rzemiosło bez przeszkody. Wadliwy system rachunkowości pozwalał na tego rodzaju manipulacye. O słynnej defraudacyi w towarzystwie zaliczkowem przemysłowców w Krakowie, nie wspominam tutaj. Bohaterowie tej sprawy, Müller i Walla popełniali sprzeniewierzenia dlatego, że nikt ich nie kontrolował, chociaż były powołane do tego czynniki. Tutaj zawinił nie system, ale całe grono ludzi

Obecnie głośną stała się w Europie defraudacya, której ofiarą padła kasa banku eskontowego w Paryżu. Kasyer tego banku, Jan Galley, sprzeniewierzył sumę, która podobno dochodzi do 5 milionów franków. Ładna fortuna. Gallej, trzydziestopięcioletni mężczyzna, ojciec dwojga dzieci, miał jako kasyer 300 franków miesięcznej pensyi. W domu żył skromnie i oszczędnie, ale poza domem wydawał pieniądze bez rachunku... na kobiety. Czasami, gdy przypadkowo do rąk żony dostały się ogromne rachunki, lub karty z upomnieniem o zapłacenie długu, powstawała w domu awantura. Żona czyniła Galley'owi wyrzuty, on zaś odpowiadał, że pieniądze wkłada do interesu z automobilami. Kobiety, a... automobile! Chociaż może tutaj zachodzi niejaki związek w myśl włoskiego aforyzmu: „la donna e mobile.."

Mniejsza o to. Interes z automobilami był rzeczywiście ruchliwy. Galley miał przy ulicy Franciszka I luksusowe pomieszkanie i tam przyjmował liczne przedstawicielki paryskiego półświatka. Prym w sercu gospodarza dzierżyła niejaka pani Sohet, która opuściła męża człowieka zacnego i pod nazwiskiem Germany Merelli zapisała się w szeregi lekkich bogiń użycia. Galley wynajął dla niej wykwintne pomieszkanie przy ulicy Flauberta, gdzie równie odbywały się wesołe kolacyjki. Galley bardzo pilnie pracował w biurze nad defraudacyami, a w nocy zdobytą monetę puszczał pomiędzy damulki.

Oczywiście nie długo to mogło trwać. Galley spostrzegł, że grunt zaczyna mu się usuwać z pod stóp. Wobec tego postanowił jeszcze raz i to gruntownie sięgnąć do kasy bankowej, a potem uciec. Postarał się o urlop dwutygodniowy, wypchał kieszenie pieniądzmi i uciekł z panią Germaną Merelli. Pojechali do Hawru, wynajęli tam jacht „Catarina" za 45.000 franków na trzy miesiące i udali się do Brazylii, gdzie Germana Merelli miała znajomych. Niestety zaraz po przybyciu do Brazylii, dostali się oboje w ręce policyi.

Galley sprzeniewierzał pieniądze równie w sposób nadzwyczajnie łatwy. Galley załatwiał głównie korespondencyę z klientami w Alzacyi i Lotaryngii i znał tamtejszych klientów. Pewien fabrykant alzacki, nazwiskiem Grau-Roman, miał bardzo znaczne konto w banku eskontowym. Galley zabrawszy blankiet listowego papieru firmy Grau-Roman, kazał wydrukować takie same blankiety listowe. Następnie na takim blankiecie napisał wezwanie do banku eskontowego, oczywiście imieniem Grau-Romana, ażeby dla niego wysłano 100.000 franków do Heudin w północnej Francyi, *poste restante*. Podpis Grau-Romana sfałszował Galley.

W kilka dni później, znowu pod firmą Grau-Romana pisał Galley do urzędu pocztowego list, ażeby owe 100 000 franków z Heudin wysłano do Paryża, do urzędu pocztowego w takiej a takiej dzielnicy *poste-restante*. Pieniądze wracały do Paryża, a Galley podejmował je na poczcie. W ten sposób manipulował Galley także z kontami innych firm i pewnego razu w jednym dniu sprzeniewierzył 600.000 franków. Jak widzimy, Galley nie wielkie miał trudności do pokonania, ażeby zdobyć pieniądze.

Dziwna rzecz, że w lecie i to wśród upałów, pojawiają się zazwyczaj sprawozdania z wypraw do... bieguna północnego. Oto obecnie wrócił z takiej wyprawy A. Fiala, kierownik ekspedycyi Zieglera. I on przyznaje, że jego wyprawa o tyle się nie udała, iż nie dotarł, już nie do bieguna samego, ale przynajmniej punktów, położonych wysoko.

Wyprawa Zieglera udała się d. 10 lipca 1903 r. w podróż, ale już w pobliżu przylądka Flora, dostała się pomiędzy olbrzymie masy lodu, które groziły jej okrętowi „Ameryka" zgnieceniem. Załoga wysadzała dynamitem lód w powietrze i torowała sobie w ten sposób drogę. Ku końcowi sierpnia dopłynęła „Ameryka" do przylądka Abruzzi, w kraju Franciszka Józefa. Tutaj umieszczono na lądzie ładunek okrętowy, kuce, psy, tudzież uzbrojenie i przyrządy. Zbudowano chałupę, w której urządzono obserwatoryum, a resztę umieszczono pod namiotami.

Dnia 22 października, podczas ciemnej nocy, okręt, na którym znajdowała się jeszcze część załogi, o mało nie został zatopiony przez straszliwą burzę. Orkan pozrywał najsilniejsze łańcuchy i kotwice, skutkiem czego „Ameryka", zdana zupełnie na łaskę losu, była igraszką fal i burzy, niby łupina orzecha. Ale okręt wyszedł cało z tej walki okropnej, chociaż nieprzebłagane żywioły spiknęły się na niego. Oto nagle otoczyły go lody, wziąwszy w uściski swoje. Ze wszystkich stron ogromne pola lodowe nadpływały, ścinały się z sobą skutkiem mrozu i gniotły boki okrętu, równocześnie zaś wielkie odłamy spadały z gór lodowych na pokład, rozbijając wszystko na drzazgi. Załoga musiała spoglądać na to dzieło zniszczenia, bezsilna wobec potęgi przyrody. W krótkim czasie „Ameryka" została zgruchotaną i marynarze zdołali zaledwie uratować szczątki drzewa, którem umocnili chatę, zbudowaną dla celów naukowych. Uratowano także zapasy węgla i łodzie ratunkowe.

Cała załoga, z dowódcą Fialą na czele, pracowała po całych dniach nad urządzeniem wyprawy, która z wiosną miała wyruszyć na saniach. W styczniu 1904 r. nagle orkan niebywałej siły rozbił lody, zalegające zatokę i rozpędził je na wszystkie strony. Przy tej sposobności wzburzone fale morza spłukały 100 ton węgla i 40 ton zapasów żywności. Gdy nastała „pogoda" urządził Fiala pierwszą wyprawę. która wyruszyła d. 25 marca, ale wnet powróciła z doniesieniem, że wszelkie jej usiłowania, aby dostać się dalej napółnoc, spełzły na niczem. Równy los spotkał drugą wyprawę. Ale mimo to, Fiala poczynił mnóstwo bardzo ważnych spostrzeżeń meteorologicznych i astronomicznych, ważnych dla nauki. Tak minął rok czasu i na wiosnę b r. miał Fiala znowu na północ wyruszyć. Ale i ta wyprawa nie udała się. Fiala czekał do lipca i wreszcie z załogą wsiadł na okręt, który wysłano po niego. Zaledwie powrócił do ojczyzny, natychmiast zaczął myśleć o nowej wyprawie.

Dla kobiet otworzył rząd nowe posady, na razie tylko w Wiedniu. Przed kilku miesiącami ministerstwo sprawiedliwości ogłosiło, że na próbę zostaną utworzone we więzieniu sądu krajowego w Wiedniu posady dozorczyń więziennych dla kobiet, odsiadujących karę więzienia. Jak donoszą dzienniki wiedeńskie, wniosło o te posady dotąd 30 osób podania. Nowe dozorczynie otrzymają stałą płacę i mundur, na razie będą służyć prowizorycznie, a w razie pomyślnego rezultatu tej reformy, otrzymają stałe posady z prawem do emerytury. Służbę rozpoczną d. 1 października b. r.

Nowy sezon teatralny w Krakowie.

W ubiegłą sobotę rozpoczął się nowy okres działalności sceny krakowskiej pod kierownictwem p. Ludwika Solskiego. **Rozpoczął się przedstawieniem „Wesela" Wyspiańskiego.** Była to dla Krakowa pewnego rodzaju uroczystość, nieśmiertelny bowiem utwór autora „Wyzwolenia" wracał na scenę miejską po dwóch latach, odkąd tam nie grano, a wracał w nowej obsadzie, zupełnie prawie zmienionej. To też widownia teatru zapełniła się po brzegi publicznością, która ze skupieniem wysłuchała genialnego utworu. Już na tem pierwszem przedstawieniu personal teatralny przedstawił się prawie w komple ie. W głównym składzie personal ten pozostał ten sam, co za poprzedniej dyrekcyi. Teatr pozyskał dwie wybitne siły w osobie nowego dyrektora i jego żony p. Ireny Solskiej. Prócz tego przybyło jeszcze wielu nowych artystów, między nimi kilka prawdziwych, ale niewyrobionych jeszcze talentów, które pod światłem kierownictwem nowego dyrektora będą mogły uzyskać pole do rozwinięcia swoich zdolności, że wymienimy tylko pp. Wiślańskiego, Bogdańskiego, Żelawskiego, Węgrzyna, Osterwę. Z pań ubyły pp. Mrozowska i Senowska, przybyły natomiast pp. Janiczówna, Janowska, Modzelewska, Palińska, Stubicka. Urząd głównego reżysera objął p. Solski, reżyserami pomocniczymi zostali pp. Sosnowski i Walewski.

Repertuar pierwszych tygodni, aż do połowy września, zastosowany do sezonu „przejezdnych". Grane więc będą te utwory, których w Królestwie grać nie wolno, a więc „Tamten" Maskoffa, „Wesele" Wyspiańskiego, „Na zawsze" Rydla, „Bolesław śmiały" i „Warszawianka" Wyspiańskiego, dramaty Słowackiego, „Dziady" Mickiewicza i t. d. Pierwszą oryginalną premierą będzie „Legenda" Stanisława Wyspiańskiego, dalej pójdą dramaty Staffa, Orkana, Żuławskiego, Zapolskiej, Kaweckiego oraz cały szereg wybitnych nowości z repertuaru zagranicznego.

P. Solski, sam znakomity artysta, jeżeli tylko stworzy dla sceny naszej „ensemble" wzorowy, jeżeli będzie mógł rozporządzać materyałem artystycznym, jaki posiada, świadomie i umiejętnie i udoskonali inscenizacyę wystawionych sztuk, przez to już zaradzi tym wszystkim niedostatkom, jakie dotychczas uczuć się dawały. Że nowy dyrektor to zrobi — w to nie wątpimy. A wtedy scena krakowska, pod jego kierownictwem, stanie się sceną taką, o jakiej marzymy, sceną, poświęconą przez Kraków — narodowej sztuce.



We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

14 (Ciąg dalszy).

— Musisz mi więc pani zaufać – mówił dalej starzec – bo ci ludzie to twoi najwięksi wrogowie! Na to przysięgam! Chcą ciebie zniszczyć tak, jak zniszczyli twojego ojca! Okradli go z majątku i dobrej sławy, a gdy powrócił to... to – o! oni nie mogli go tu dopuścić, gdzie pewnie pociągnąłby ich do odpowiedzialności za te wszystkie łotrostwa! Powinienem był domyśleć się tego, ostrzedz twojego ojca, bo znałem ich zanadto dobrze! Ale... że oni ośmielą się zamordować go, tego nigdy, nigdy nie przypuszczałem!..

Krzyk zgrozy wydarł się z piersi Heleny. Kurczowo uchwyciła rękę starca i wstrząsnęła nią silnie.

— Opamiętaj się pan! co mówisz!!.. Czy wiesz, co powiedziałeś!!.. że oni go zamordowali!..

— Tak! — jęknął z głębokiem przekonaniem Najpert – zamordowali, albo zamordować kazali! To jest tak pewne, jak i to, że staną kiedyś po sprawiedliwy wyrok na sądzie ostatecznym przed trybunałem nie ludzi, lecz Boga!...

Helenie pociemniało w oczach. Przez chwilę nie wiedziała co się z nią dzieje. Puściła rękę starca i nagle przyszło jej na myśl, że ma do czynienia z waryatem. Trwożliwie spoglądnęła w stronę Najperta.

— Nie odchodź pani! — błagał ją chory — nie odchodź, póki mnie nie wysłuchasz! Nie patrz na mnie z taką trwogą, bo ja nie jestem waryatem i to co mówię, nie mówię bezpodstawnie! Wiem. że nie możesz mnie zrozumieć, bo zacząłem opowiadanie od końca, ale teraz poprawię się! Jeśli masz pani trrohę litości nad umierającym, to zostań i wysłuchaj mnie. Na pamięć twego ojca zaklinam cię zostań!..

I tak błagalnie spojrzał w oczy biednej sieroty, że ta nie była w stanie odmówić jego prośbie. Skinęła więc głową na znak, że pozostanie i poprawiła się na krześle, a starzec zaczął mówić:

— Ja pani mam już siedmdziesiąt lat, ale nie spędziłem całego mego życia w tej izdebce. Ożeniłem się młodo i zaraz w pierwszym roku utraciłem żonę, która powiła mi córeczkę, lecz sama życiem opłaciła życie dziecięcia. Kochałem żonę szalenie i szczęście moje wraz z nią złożyłem do grobu. Do dziecka, które dałem obcym ludziom na wychowanie, nie czułem najmniejszego pociągu, lecz przeciwnie żal za to, że było choć nieświadomie i mimowolnie przyczyną śmierci matki. A i interesy moje, które rozwijały się bardzo pomyślnie, stały się dla mnie całkiem obojętne Zamarłem poprostu i nie troszczyłem się o nic. Naturalnie w takich okolicznościach ruina była nieuniknioną. Kilku moich przyjaciół radziło mi zgłosić konkurs, ułożyć się z wierzycielami i bodaj w ten sposób uratować ostatki mego mienia. Nie zgodziłem się na to. Wolałem wszystko stracić, niż na szwank narazić me dobre imię. Sprzedałem wszystko, co miałem i spłaciłem mych wierzycieli. Mała kwota pozostała mi jeszcze. Zacząłem wówczas myśleć o mojem dziecku, o Grecie, która już dziewięć lat liczyła. Nie miałem środków, aby ją oddać na pensyę i wziąłem ją do siebie. Miałaś pani ojca, więc możesz domyśleć się, jaki był nasz stosunek!.. Kochałem to dziecko, a ono płaciło mi wzajemnością. Ale trzeba było myśleć o chlebie codziennym. Zacząłem pracować, nawiązałem nowe interesy, ale — nie szło mi!.. Od ust sobie odejmowałem, oszczędzałem, gdzie mogłem — nie szło mi!.. I pewnego dnia zobaczyłem, że jestem jeszcze uboższy!.. Ale nie myślałem wówczas o sobie, tylko o Grecie, o nią, o jej przyszłość chodziło mi jedynie!..

Aby choć małą sumkę uratować, udałem się do adwokata tego człowieka, który mnie najwięcej prześladował. Adwokatem tym był doktór Harras, który dopiero rozpoczął swą praktykę, a który ciesząc się sławą bardzo zdolnego prawnika, zdobył sobie równocześnie reputacyę bezlitosnego człowieka. Wiedząc, że klijent jego miał przy tym interesie ładny zarobek i że tu nie o opust się rozchodzi, ale o zwłokę, byłem pewny, że uzyskam prolongatę.

Ale nie znałem tego człowieka, nie wiedziałem, że ma kamienne serce! Ze zwykłą swoją uprzejmością wzruszył ramionami i — odmówił mej prośbie. Ze łzami w oczach, na klęczkach błagałem go, przedstawiałem mu cyfrowo, że klijent na tem nic a nic nie straci, a doktór Harras nie dał się wzruszyć. Nie pomogło i to, gdy przedstawiłem mu, że w razie nieotrzymania prolongaty jestem kompletnie zrujnowany!.. Ukłoniłem mu się i już chciałem wyjść, gdy zawołał mnie, mówiąc, że chciałby mi w jakiś sposób dopomódz. Doktór Harras i — dopomódz! Posłuchaj pani! Oświadczył, że zna moje pismo, że ono mu się podoba, że boi się, abym z głodu nie umarł i ofiarował mi u siebie posadę pisarza, ale z tak nizką płacą, że wzdrygnąłem się na myśl o tej nędzy, która mi zagraża! Lecz co miałem zrobić? Pamiętałem o mojej Grecie, co liczyła już lat czternaście, ale pracować na siebie jeszcze nie była w stanie!.. Prosiłem go więc o krótki czas do namysłu i tego samego dnia wieczorem przyniósłszy mu ostatki mego mienia, zgodziłem się na jego propozycyę. On skinął głową i na drugi dzień byłem już u niego w służbie.

Widziałem te łzy, słyszałem te przekleństwa, które spadały na jego głowę i poznałem, że ten człowiek dla pieniędzy i za pieniądze byłby zdolny do najpodlejszych czynów! Ale spełniałem me obowiązki sumiennie i to zapewniało mi jego zaufanie, bo nie przeczuwał nawet, jak ja nim w duszy pogardzam!..

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

7 (Ciąg dalszy).

— Zapomniałeś, że Sakonnomke ma córkę, która się nazywa Soszino. To bardzo smutne.

Morizane podniosł swą dłoń i położył na ramieniu Joszino.

— Hahimo wie, czy mogłem ciebie zapomnieć. Soszino schwyciła dłoń jego i rzekła:

— Mów, co chcesz... a jednak zapomniałeś o mnie przy drugiej kochance... — nie mogła mówić dalej.

Oboje umilkli na chwilę; potem Soszino ciągnęła dalej:

— Dopiero coś mówił, iż mężczyzna winien dochować wierności. Wiesz o tem doskonale!

Chciała jeszcze wiele powiedzieć, lecz obawiała się rozgniewać go; spojrzała na twarz jego i w sercu jej przebudziła się miłość, z wrastającą miłością, wzrastał smutek.

Soszino mówiła wszystko, co czuła.

Postaw kwiat przed źwierciadłem – odbicie jego niepodobne będzie do księżyca; jest to prawo natury. Nienaturalnem weselić się w niedoli lub śmiać się w gniewie.

Ona mówiła dalej:

— Wiesz dobrze, iż mężczyzna również powinien zostać wiernym. Byłeś posłuszny swemu panu... Lecz i on pewnie jest człowiekiem, nie popełni nic złego i podłego, jak szatan lub żmija. Czemuś nie powiedział twemu państwu, że ja, Soszino, córka Tagenige Sakonnomke, jestem twoją narzeczoną? Nie daliby ci innej żony, chociażby byli źli. Matka moja powiedziała mi, iż żona twoja była służącą twej pani. Zakochała się w tobie, na śmierć się zakochała. Nawet obca pokochała ciebie, a ja kochałam się od dzieciństwa!

Pani spostrzegła uczucia twej żony i namówiła cię, byś się ożenił z Wakabą. Jakże się służąca radowała! Można sobie to wyobrazić! Pani twoja postąpiła niewłaściwie. Jeśli dostrzegła uczucia swej służącej, mogła również domyślić się miłości mojej do ciebie. Mogła cię kochać i druga, tak samo, jak służąca. Gdybyś wówczas wszystko wypowiedział, pani zrozumiałaby to bezprawie, lecz tyś już dawno porozumiewał się ze służącą. Ach, tyś mnie porzucił. Oto dlatego nic jej nie mówiłeś i natychmiast za rozkazem pana swego, ożeniłeś się.

Silniej ścisnęła rękę Morizane. Soszina odepchnęła swą miłość. Młody bambus wydaje się słabym, lecz stać go na siły, by zrzucił śnieg z siebie.

Koszizo myślał:

„Soszino, nic nie wiesz; nie wiesz, iż teraz nawet przyjaciele nie ufają sobie. Tak bywa zawsze w czasie wojny. Tysiące ludzi może postradać życie przez obmowę. Smutnem jest, iż istnieje zwyczaj dawania dzieci rycerzy, jako zakładników. W Chinach żył pewien z Ro, imieniem Hoki. Zgodził się zostać wodzem podczas wojny z plemieniem Sei. Lecz żona jego pochodziła z plemienia Sei, więc obawiał się on, iż rodacy będą czuli względem niego brak zaufania, Pragnąc okazać wierność swą plemieniu, zabił ukochaną swą żonę, poszedł na wojnę i uzyskał stawę bohatera. Jednak potem wyrzucali mu to, że postąpił tak nieludzko; niebezpieczeństwo zaczęło mu grozić i uciekł do Gi. Tego wypadku nie należy brać za wzór działania, lecz powinno się to zapamiętać. Ja, Koszizo Morizane, mając lat ośm, pozostałem sierotą, brat matki mojej, Tojama Sakonnomke, wziął mnie do siebie i nauczył fechtunku i strzelania. Z nieważnej przyczyny wybuchnęła wojna pomiędzy dwoma plemionami, ja i mój wuj służyliśmy wrogim sobie panom, staliśmy się nieprzyjaciółmi; nieraz mówiono: Koszizo ma wuja w nieprzyjacielskiem obozie. Pan mój, widocznie, słyszał to często, pozostało podejrzenie. Właśnie wtedy wykazała się miłość Wakaby i rozkazał mi ożenić się z nią; tylko ta okoliczność, iż posiadam wuja w obozie wroga, budziła potwarz. Czyż mogłem powiedzieć panu memu, iż chcę się ożenić z córką wuja? Odepchnąłby mnie, wypędził.

„Soszino widziała tylko moją twarz, lecz nie widziała mego serca — rzekł do siebie. Rzeczywiście jest moją narzeczoną od dzieciństwa, a rodzice jej — memi dobrodziejami. Czyż mogłem zapomnieć o wdzięczności? By odepchnąć od siebie potwarz, ożeniłem się z Wakabą. Niechętnie wychyliłem weselny puhar i z piekłem w duszy wstąpiłem na łoże małżeńskie. Jeślibym wspomniał o Soszino nazwanoby mnie zdrajcą, krew, którą powinienem przelewać pod ciosami wrogów, tryskałaby pod rzemieniami moich współtowarzyszy. Męczeństwo znieść można, lecz nie hańbę. Hańba moja spadłaby na mych przodków. Chłopi i kupcy przenosić to mogą, lecz nie rycerze.

— Nie — mówiła — nie Soszino, mówiła przez nią miłość, miłość, która oślepia rozum.

Idąc na plac boju, miał Morizane dwa zamiary: po pierwsze, zasłużyć na łaskę swego pana; powtóre, odpokutować za grzech przed swym wujem-dobroczyńcą i przed narzecz ną; grzeszył przeciwko nim, słuchając swego pana i spełniając życzenie Wakaby. To, com przy rozstaniu napisał mej żonie. posiada to samo znaczenie.

Oto, nad czem myślał Koszizo, lecz nie chciał wypowiedzieć przed swą narzeczoną. Słowa jego nie zmniejszyłyby jej gniewu. Więc milczał.

Soszino rzekła z bólem:

— Kiedyś był u nas, spoglądałeś na mnie, jak na swą żonę; teraz zaś powróciwszy, odpychasz mnie. Przygotowałam dla ciebie potrójne przyjęcie, pielęgnowałam cię. Jeszcze wówczas, kiedyśmy byli dziećmi i razem się bawili, wiedziałeś, że jestem przeciętną dziewczyną. Teraz udajesz, jak gdybyś dopiero zauważył to. Możesz zrozumieć, co mam w duszy i powinieneś powiedzieć mi kilka serdecznych słów. Opowiadam matce moje smutki, lecz ona opowiada: „Nie mogę ci pomódz“.

Soszino przygryzła zębami swój rękaw i padła na kolana. Płakała cicho. odgarnąwszy rozpuszczone włosy, zawołała:

— Ach lepiejbym już umarła.

— Umarła? — powtórzył Koszizo,

— Tak chciałabym umrzeć; całe to moje życie jest jednem cierpieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Maszyna do szycia.

Obrazek.

Skreślił *k. e.*

I.

Na oknie w glinianych doniczkach kwitnące fuksye, ponad fuksyami klatka z kanarkiem, przy oknie siedzą dwie kobiety i szyją tak pilnie, że nie spostrzegły nawet wróbla, który skacze po klatce i kłóci się z kanarki. Obie szyją z tą bezmyślnością mechaniczną, a jednakże gorączkową szybkością zawodowych szwaczek.

Zegar z ołowianemi wagami wybił godzinę czwartą po południu. Starsza kobieta o siwych włosach, które w cienkich kosmykach wymykały się z pod białego czepka, podniosła oczy na swą towarzyszkę, młodą dziewczynę i ogarnęła ją spojrzeniem pełnem troskliwej miłości. W tych oczach przygasłych, wypłowiałych, malowało się niewymowne cierpienie po zawodach już dawno przebytych i trwoga bezsilna przed przyszłością i nieme błaganie do Boga, do losu, czy do świata o chwilę spokoju i zapomnienia..

— Mamę to szycie zabija — zawołała dziewczyna pod wpływem tego spojrzenia.

— Ależ ja szyję dla przyjemności — mówiła starsza kobieta cichym głosem — wcale mnie to nie męczy.

Wystarczyło spojrzeć na nią, ażeby się przekonać, że kłamie dla uspokojenia córki. Na pożółkłej twarzy wyraz śmiertelnego znużenia, na obu skroniach sine plamy, stos pacierzowy zgięty w kabłąk, ręce chude, pomarszczone, okryte siatką nabrzmiałych żył.

— Wybiła czwarta godzina — rzekła córka, wstając ze stołka. — Ugotuję mamie szklankę kakao.

— Wypijemy obie po połówce, nie mam dziś...

— Wypije mama wszystko — przerwała energiczna dziewczyna. — Ja nie lubię kakao, a zresztą i tak dosyć się objadam.

— Chlebem — dokończyła matka.

— Bo ja bardzo lubię chleb.

Oczywiście. Dawniej, za życia ojca, który był dyurnistą, cała rodzina żywiła się przeważnie chlebem — później, gdy ojciec umarł, brakowało nieraz i tego artykułu. Obie kobiety okłamywały się nawzajem, udawały, że sobie wierzą i w głębi serca ukrywały gorzkie zmartwienie.

Dziewczyna wybiegła do kuchni, ażeby przygotować podwieczorek. Wkrótce przyniosła na blaszanej tacy szklankę kakao i bułkę z masłem, postawiła na oknie obok matki, sama zaś usiadła na swoim stołku i zaczęła jeść chleb.

— Nie bądź upartą, podzielmy się — prosiła matka.

— Dziękuję, nie mogę — broniła się córka. Ale matka prosiła tak długo i tak natarczywie, że wreszcie postawiła na swojem.

— Ty zawsze stroisz ceremonie — mówiła ożywionym nieco głosem. — Gdzież jabym zdołała wypić taką szklanicę.

Dziewczynie wargi drżały i łzy cisnęły się do oczu. Powstała szybko, wydobyła z bułki odrobinę ośródki, posypała ją cukrem i wetkała w klatkę pomiędzy druty.

— Pan kanarek będzie nadzwyczajnie zdumiony, gdy za kilka miesięcy usłyszy turkot maszyny do szycia — odezwała się żartobliwie, pokonawszy już chwilowe wzruszenie. — Dla moich uszu będzie ten turkot śpiewem słowika.

Usiadła znowu i jadła podwieczorek, nie myśląc wcale o jedzeniu.

— Na maszynie w ciągu jednego dnia uszyję więcej, niż przez cały tydzień — mówiła jakby rozmarzona swoim ulubionym tematem. — Taką maszynę można spłacać tygodniowemi ratami, guldena w każdą sobotę. Gdybyśmy trochę więcej za rabiały...

— Józia mogłaby także pomagać — zauważyła matka.

— Józia? dwunastoletnie dziecko? Józia musi do szkoły chodzić. Niech się uczy, niech zostanie guwernantką, nauczycielką, boną czemkolwiek, byle nie szwaczką, bo ona już teraz ma słabe płuca. Zresztą, niechże choć w dziecinnych latach użyje wolności.

W tej chwili do pokoju weszła Józia i rzuciła książki na swoje łóżeczko.

— Maniu — zawołała na siostrę — pani Dymowa kazała ci powiedzieć, żebyś do niej zaraz przyszła, ale to zaraz.

Pani Dymowa posiadała pierwszorzędną szwalnię. Mania wdziała kapelusz i czemprędzej pospieszyła do niej.

— C ego ona chce? — zapytała matka.

— Niewiem — odpowiedziała Józia — proszę chleba.

Porwała chleb i wyleciała do dzieci sąsiada, które bawiły się przed domem na placu. Matka została sama.

— A może ją Dymowa przyjmie? — mówiła do siebie. — Takiej hafciarki nie ma z pewnością.

Złożyła ręce i zaczęła się modlić na tę intencyę. Zaledwie skończyła modlitwę, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem i do p koju wbiegła Mania.

— Wielka nowina — wołało dziecko zadyszane — Dymowa szyje dla hrabianki wyprawę, ale, że nie zdołałaby jej wykończyć na termin, więc musi przyjąć kilka szwaczek na dwa miesiące. Płaci guldena dziennie. słyszy mama, guldena dziennie! Kupujemy zaraz maszynę, płacimy podwójne raty.

Obsypała matkę pocałunkami.

— A co z twoją robotą? — zapytała matka. — Chyba zwrócisz?

— Domową robotę będę szyć w nocy — odpowiedziała Mania.

— Żebyś, broń Boże, nie zachorowała.

— Ależ mamo — dowodziło dziewczę — u Dymowej szyję do godziny siódmej wieczór, potem idziemy na spacer, a potem ja szyję sobie do godziny jedynastej lub dwunastej w nocy. Na maszynie pójdzie wszystko jak z płatka.

Obie usiadły przy oknie i rozmawiały dalej. Mania chciała haftować, ale ręce tak jej drżały z radosnego wzruszenia, że musiała robotę odłożyć na bok.

— W szczęściu zapomniałyśmy o Boga — odezwała się matka. — Na niedzielę trzeba zamówić mszę do Przemienienia Pańskiego.

Do pokoju weszła Józia, prowadząc za sobą młodego mężczyznę. Nowy gość należał widocznie do poufałych znajomych, gdyż powiedziawszy: dobry wieczór, wziął sobie stołek i przysiadł się do kobiet.

Był to pan Kazimierz, uczeń wydziału prawniczego. Ojciec jego był stróżem w tej samej kamienicy, w której niegdyś mieszkali rodzice Mani. On uczęszczał wówczas do gimnazyum, ona chodziła do szwaczki na naukę i przez długi czas codziennie spotykali się li tylko po to, ażeby zamienić niezgrabne ukłony i spiec raki powyżej uszu. Przemyślny Kazimierz wnet zawarł znajomość z ubogim dyurnistą, którego względy zaskarbił sobie przepisywaniem aktów. Pewnego razu, gdy chłopiec przyniósł kilkanaście arkuszy pokrytych pismem, zachwycony dyurnista rzekł do niego:

— Sprawuj się dobrze, dam ci Manię za żonę...

Dziewczyna dąsała się aż do wieczora, a chłopak nie spał całą noc.

Dyurnista umarł, nie spełniwszy przyrzeczenia swego. Wkrótce potem przeniósł się także i ojciec Kazimierza do wieczności a matka wyjechała na wieś do brata, który był organistą i owdowiawszy, nie mógł znaleźć dla siebie żony, a dla pięciorga dzieci macochy. Kazimierz pozostał sam na bruku, ale nie zginął. Obecnie pracuje u adwokata za 10 złr., prócz tego ma lekcyę za 5 złr.

Kobiety opowiedziały mu zaraz o dzisiejszej niespodziance, przyczem oczywiście Mania zauważyła, że kupują maszynę do szycia.

— Dziwny zbieg okoliczności — odpowiedział Kazimierz, wysłuchawszy opowiadania. — I ja za pracę pozabiurową otrzymałem dzisiaj od mecenasa trzy guldeny. Wobec tego stawiam następujący wniosek: celem uświetnienia dzisiejszego, tak szczęśliwego dnia, urządzamy wycieczkę do jednego z ogrodów, którego wybór należy do mamy. Tam spożywamy sutą wieczerzę, również według wyboru mamy, zastrzegam sobie jednakże naprzód, że musi być konieczuie chleb z masłem i rzodkiew.

Głośne okrzyki Józi stanowiły aprobatę tego wniosku.

Sąsiedzi kiwali głowami na widok szwaczek, idących na spacer w dzień powszedni.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

I.

Pierwsza trzecia u surduta
Trzecia druga w chacie;
Wszystko gdy spojrzycie w górę
Ponad głową macie.

II.

Pierwsze i drugie już oddawna służy
Przy każdej, byle nie pieszej podróży,
Chociaż w dzisiejszej wynalazków dobie
W kontakt z niem nieraz wchodzą nogi obie,
I pędzi człowiek jak strzała po świecie,
Byle omijał zdala *czwarte trzecie.*
Drugie i trzecie to ciężka robota,
Lecz nieraz wiodą z kamienia do złota.
Gdy *czwartych* więcej, mówią wtedy *trzecie*
A *czwarte czwarte* koło kur znajdziecie.
Całość to miasto piosnkami wsławione,
Co jego mianem zostały ochrzczone.

Łamigłówka.

```
            *
          . * .
        . . * . .
      . . . * . . .
    . . . . * . . . .
  * * * * * * * * * * *
    . . . . * . . . .
      . . . * . . .
        . . * . .
          . * .
            *
```

A, a, a, a, a, a, u, c, c, c, d, e, e, g, g, h, i, i, i, i, k, k, k, l, l, l, ł, ł, ł. m, n, n, n, o, o, o, o, o, o, o, o, ó, p, p, r, r, r, s, s, s, t, t, u, u, w, w, w, y, z.

Powyższe litery wstawić w miejsce kropek i gwiazdek, ażeby utworzyły:

1) Spółgłoskę. 2) Bożka. 3) Imię wschodnie. 4) Ozdobę architektoniczną. 5) Wieś pod Lwowem. 6) Znaczenie łamigłówki 7) Nazwę wyspy. 8. Ulicę jednej nazwy w Krakowie, Lwowie i Warszawie. 9) Potrawę. 10 Miejscowość klimatyczną na wybrzeżu Adryatyku. 11) Samogłoskę.

Ustawione w ten sposób litery utworzą na gwiazdkach wzdłuż i poziomo nazwisko wybitnego męża stanu w Austryi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya książkę p. t. **„Nowe humoreski“** L. Stasiaka. Do losowania o nagrodę mają jednak prawo tylko ci PP. prenumeratorzy, **którzy prenumerują „Nowości illustrowane“ wprost w Administracyi w Krakowie.** Inni PP. abonenci nie będą przypuszczeni do losowania.

Rozwiązania z Nru 34.

Rebus: Coraz więcej dzieje się rzeczy takich na świecie, o których ani śnili nasi ojcowie.

Szarady: I Afganistan. II. Moderato. III. Torba.

Łamigłówka: Jaz-gar.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: B. Ramułtowa Jeżów, J. Taborówna Prądnik Czerwony, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, A. St. Bassara Niwiska, H. Dydacka Żurawno, L. Rogalski Mikulińce, J. Remiszewski Załawie, Kuszpeciński Kraków, M. Cetera Dubiecko, J. Badura Rożdzień, H. Zielińska Manajów, Stadnik Grabiny, T. Domain Sanok, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Ramoszyńska Borysław, J. Biegoń Ślemień, Fr. Josefert Kraków, K. Chodkiewicz Zbydniów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Franciszek Josefert w Krakowie. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Zwracamy uwagę, że do losowania mają tylko prawo prenumeratorzy „Nowości illustrowanych“. Nie prenumeratorzy więc nie mogą otrzymać nagrody, chociaż dobrze wszystko rozwiążą.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.